

O sprawach partii

Tadeusz Jasiński

str. 3

O „Człowieku z żelaza” - Aleksander Scibor-Rylski

str. 4-5

O rolniku który chce mieć telefon

Anna Bocian

str. 10

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kammena

LUBLIN 7 XII 1980 NR 25 (719)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Nasze jest dobro i zło

Rozmowa z prof.

Adamem Kerstenem

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Panie profesorze przy końcu października rozpoczął pan w sali widowiskowej „Chatki Zaka” UMCS cykl otwartych wykładów pod ogólnym tytułem „Historia Polski dla Polaków XXI wieku”, Zaskakujący to tytuł, może nawet kokieterijny...

ADAM KERSTEN: — W minionym roku zakończyłem pisanie złożonej konstrukcyjnie, męczącej i obszernej (40 arkuszy) pracy naukowej, będącej próbą pokazania mechanizmu władzy w XVII-wiecznej Rzeczypospolitej, na kanwie biografii Hieronima Radziejewskiego. Siedziałem nad tą książką niemal osiem lat, no i powiedziałem sobie, że teraz należałoby napisać coś lżejszego. Pewną koncepcją dysponowałem zresztą już od dawna, wiązała się ona z moim przeświadczeniem, że tradycja historyczna, w której jesteśmy wszyscy wychowani, jest tradycja sz-

bił, podczas gdy ja osobiście chciałbym, aby była to tradycja myśli. Niektóre rozdziały już napisałem, inne naszkicowałem — po zakończeniu będzie ta książka moim poglądem na to, co winno ostać się z historii w świadomości społecznej. A zatem wiek XXI w tytule wspomnianego cyklu przestaje być czymś megalomańskim, czy jak pan chce — kokieterijnym; jest to pierwszy sygnał autorskiej intencji.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Ale nie wyjaśnia jeszcze, jak doszło do wykładów w „Chatce Zaka”...

ADAM KERSTEN: — Odpowiedziałem po prostu na prośbę Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS. Takimże zamówieniu społecznemu się nie odmawia. Widzi pan, ja jestem dość złego mniemania o świadomości historycznej Polaków, nawet inteligencji, jeśli już użyję tego nieprecyzyjnego pojęcia. Ist-



Fot. Waldemar Stepień

nieje u nas wielkie umiłowanie przeszłości, za którym nie kryje się żadne głębsze jej pojmowanie. W recepcji publicznej wszystko ma ten sam walor: film historyczny, powieść, esej, publi-

cystyka, monografia, podręcznik uniwersytecki. Pojęcie fikcji literackiej

Dokończenie na str. 4-5

USŁUGI DLA LUDNOŚCI



Rys. Andrzej Stok

STAWIAJAC pytanie, kto będzie bronił praw naszych jako konsumentów, sugeruje, iż istnieje taka konieczność w ramach współczesnej gospodarki. I natychmiast pokazuje się cała przewrotność tej kwestii w gospodarce socjalistycznej. Jeżeli przypomni sobie reguły zaczerpnięte z podręczników ekonomii politycznej socjalizmu, według których celem gospodarki ma być maksymalne zaspokojenie potrzeb konsumentów jako członków społeczeństwa, powstaje wątpliwość, przed kim i po co ma być ta obrona?

Jak bronić konsumenta?

Lesław A. Paga

W gospodarce kapitalistycznej na bazie pieczołowicie utrzymywanego mitu suwerenności i wszechwładzy konsumenta wykształciła się strategia wielkiego kapitału, polegająca na rozwoju produkcji nie tylko dla zaspokojenia potrzeb rodzących się w sposób naturalny, lecz również inspirowanych w drodze propagandy i reklamy. Badania motywów pozwalają wnikać w osobowość konsumentów i wykorzystywać nabytą w ten sposób wiedzę do ich ujarznienia za pomocą środków masowej informacji. Tak więc okazuje się, że nie popyt suwerennego

konsumenta kieruje rozmieszczeniem zasobów, lecz strategia produkcji. Ona to właśnie określa zastosowanie kapitału i kreuje rynek, posługując się całym nowoczesnym arsenalem środków kształtowania postaw ludzkich.

To, że pełna suwerenność konsumenta nie istnieje, szybko zrozumieł konsument na Zachodzie. Dlatego narodziły się tam działania prewencyjne, podjęte przez liczne organizacje

Dokończenie na str. 8-9

21.XI. „Wypadłem” na miesiąc „Kamenu”, o czym uprzednio moich Szanownych Czytelników poinformowałem. Jest w tym trochę megalomanii, bowiem ostatnio „Kamena” i bez notatnika młka z kiosków błyskawicznie: dostałem nawet list z zapytaniem, czy pisno przestało się ukazywać, jako że nigdzie się go nie usłyszy. Nieznani ludzie pojawiają się w redakcji i dosłownie żębrzą o bieżący egzemplarz. O tempora, o mores! Jakże redaktor mógłby przypuszczać kiedykolwiek, że dożyje dni tak pełnych szczęśliwości?

W czasie urlopu — urlop bowiem był przyczyną mojego milczenia — bez żadnego trudu nabywałem prasę. Po prostu szedłem do kiosku i prosiłem o „Neues Deutschland” czy „Freiheit” (w NRD), o „Die Zeit” czy „Der Spiegel” (w RFN), o „Rude Pravo” czy „Prace” (w Czechosłowacji). Jedynym problemem mógł być tylko aktualny stan mojej portmonetki niezbyt przecież zasobnej jeśli chodzi o marki (wschodnie czy zachodnie), lub też czeskosłowackie korony. A znalazłem się już prawie w niebie, kiedy na dworcu w Frankfurcie nad Menem udało mi się zdobyć „Trybunę Ludu” (wydanie warszawskie z jednodniowym opóźnieniem), chociaż cena jej (licząc czarnorynkowo), wynosiła więcej niż złotą dwadziestką. Miałem pełną satysfakcję widząc, że „Trybuna” znika błyskawicznie, a różne pisma — ka porno i półporno nadaremnie kuszą golizną.

Proszę Państwa: w ciągu dwunastu dni na przełomie października i listopada codziennie oglądałem zachodniemiecką telewizję. W tym czasie tylko jeden, podkreślam jeden, dziennik wieczorny nie zaczynał się od spraw polskich! Weale to nie oznacza, że tak nas tam kochają. Wydarzenia między Bugiem a Odłą po prostu ich interesują i niepokoją. Interesują i niepokoją z uwagi na reperkusje w Europie i na świecie. Z uwagi na klimat odprężenia międzynarodowego.

Muszą przyznać, że nie odczuwałem dumy z powodu tej „polskiej gorączki”. Nic nie mogłem też odpowiedzieć na padające z ust Niemców słowa: „Polacy, uspokójcie się, przestańcie się bawić zaparkami”. Uprzejmość wobec gospodarzy nie pozwalała mi na przypomnienie, że przed 41 laty w Trzeciej Rzeszy zapalono lont, który nas, Polaków, wciągnął w otchłań. Na ścianie wisiał portret gospodarza, wówczas młodzieńca, w mundurze żołnierza Wehrmachtu. Kiedy zbytnio w ów portret się wpatrywałem, gospodarz pośpieszył z odpowiedzią, że walczył tylko na froncie wschodnim, w Rosji, co musiał zresztą solidnie odpokutować kilkuletnią niewolą. Ze dzisiaj jest innym człowiekiem, któremu zależy tylko na odprężeniu i utrwaleniu pokoju.

Ze mu zależy na pokoju, weale się nie dziwiłem. Któż by chciał stracić taką piękną wille z dwoma łazienkami, eleganckimi mebelkami, z różnymi drobnymi rzeczami z których każde miało swoje miejsce? I coż on, Niemiec, mógł wiedzieć o naszych problemach codziennych trudnościach, których genę można by również odnaleźć w czynach pewnego Frvderyka i pewnego Adolfa. Od historii żaden naród nie ucieknie, niezależnie od błędów, które sam popełni.

Wolałem więc zmienić temat, wychodząc z założenia, że sprawy polskie są przede wszystkim sprawami polskimi i tylko my

sami potrafimy je rozwiązać. A o północy nastawiałem w radiu Warszawę, błogosławiąc decyzję o budowie w Gąbinie wysokiego masztu, który pozwalał mi teraz wyraźnie odbierać ostatnie wieści znad Wisły.

Wróciłem do kraju od południa, przejechawszy olbrzymi szmat Czechosłowacji od jej zachodniej granicy po Brno i Nowy Jičín, który stał się moim obowiązkowym miejscem postoju. Po prostu maluch odmówił posłuszeństwa i nawet w pierwszym biegu nie chciał pokonać wznieślenia.

Stanąłem, zajrzałem do wnętrza, poprawiłem to i owo, ale awaria okazała się poważniejsza niż początkowo myślałem. Sobota, w kieszeni dwieście koron i bezradność większa niż ocean.

Włoczyłem się w jakąś boczną uliczkę i spostrzegłem, że w jednym z garaży ktoś majstruje przy samochodzie. Poprosiłem o pomoc. Miałem szczęście, trafiłem, niżym powiedziałem w piątkę w Toto-Lotku, na autentycznego mechanika, a jak się wkrótce okazało, prawdziwego hobbybista. Przyczyna awarii została szybko odkryta: tarcza sprzęgła. Ponieważ w Polskim Związku Motorowym wypożyczyłem nieco części zamiennych, a wśród nich właśnie tarczę sprzęgła, ujrzałem świat w nieco jaśniejszych barwach. Pan Jiri Chaloupka, bo tak się nazywał mój wybawca, obiecał w niedzielę (zapadał już zmierzch) naprawić samochód, a potem zaprosił do mieszkania, gdzie ugościł odpowiednim napojem, następnie zaś odwiózł do hotelu, w którym o tej porze roku bez trudu dostaliśmy z żoną pokój.

Następnego dnia robota ruszyła pełną parą. Pan Chaloupka pierwszy raz miał w ręku małego fiata, ale świetnie sobie poradził, narzekając tylko na ... nadmiar śrubek. W południe jechał dalej. Sprawy finansowe ureguluję już w Polsce — nie tylko znatortyzowani wiedzą jakie powinienem mieć zobowiązania...

Trzyniec, Czeski Cieszyn i Ostrawa, dokąd wpadłem po drobne honorarium za moje dawne publikacje w miejscowej gazecie, wydawanej w języku polskim — „Głosie Ludu”, to były ostatnie miasta podczas zagranicznej podróży.

W Trzyńcu ugościł nas Janusz Gaudyn, lekarz, poeta, satyryk, którego aforyzmy niejednokrotnie drukowaliśmy w „Kamieniu”. I Gustaw Snjdok, nauczyciel, poeta, a w Czeskim Cieszynie — Antoni Suchor, redaktor naczelny „Gazetki Pioniera” i Kazimierz Kaszper, redaktor naczelny miesięcznika „Zwrot”. Lubie rozmawiać z ludźmi, którzy kulturowo łącząc swoją kulturę z kulturą miejscową, realizują rolę z działalności na rzecz zbliżenia obu narodów słowiańskich.

Tyle rewanżu za granicę.

30.XI. Nie jestem w stanie prowadzić notatnika na bieżąco. Zwłaszcza teraz, po powrocie, kiedy zaległa lektura skraca mi sen. Od deski do deski przeczytałem nawet „Kamień” z 23 listopada, w której tworzeniu nie mogłem uczestniczyć. Anna Bocian, jeszcze gościnne (jeszcze, bo właśnie przechodzi do nas na etat) podzieliła się refleksjami na temat ostatniego Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Relacje ze Zjazdu znalazłem również na łamach „Gazety Południowej”, ostro zaangażowanej w proces odnowy.

Nareszcie mamy prawdziwą wymianę stanowisk! Anna Bocian pisze:

Dotąd dziennikarze nie zadržali się, że myślą samodzielną, uprawiali krytykownictwo i podszczyptywanie, gdyż nie mieli wpływu na to, co się działo. Teraz — dzięki porozumieniu z Gdańską, Szczecińską i Jastrz-

bia — mogą stanąć na starcu do procesu odnowy, pamiętając jednak z niedalekiej przeszłości, że brak odwagi egzystyjnej jest naogony, a tym bardziej uprawiana przez niektórych nadgorliwość.

Odmiennie zdanie ma Henryk Gaworski, który w miesięczniku „Barwy”, wychodzącym w stolicy, a przeznaczonym dla regionu Mazowsza, pisze w artykule wstępnym (nr 11), pt. „Fala i piana”:

A jak wygląda demokracja w wydaniu jej „odkrywco”, można się było przekonać na niedawnym Nadzwyczajnym Zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Spora grupa owych ślepego podjętych „demokratów” rozdawała listy proskrypcyjne z nazwiskami ludzi, na których pod groźbą strajkowskiej anatemy nie wolno było głosować w wyborach do nowych władz Stowarzyszenia. Tych ludzi — a sam do nich należałem — nie dopuszczono również do głosu, choć pierwszy się do dyskusji zgłosił. Natomiast bez żadnych trudności wchodziło na trybunę demagogicznymi krzykami, z których niemała część leżyłymi się wypróbowanym, stalinoskim rozumowaniem. Pan Krzysztof Wolicki na przykład raczył mnia oburzyć uszywkami śmiertelnymi grzechami naszej propagandy, jako że ja podobno byłem za nią odpowiedzialny. (...) Obratano także innych uwolnionców dla grupy „odnowiciele” zostali uznani za trefnych. (...) Nie byłem (...) zbudowany atmosferą Nadzwyczajnego Zjazdu Dziennikarzy. Była to atmosfera niezdrowego podniecenia, któremu nie oparł się nawet człowiek skądinąd mądry i utalentowany, zaiste godni szacunku. Nie miał takiego ducha ci dotagact, którzy starali się zachować własną odrębność (...).

Nie komentuję tych słów, bo w samym Zjeździe nie uczestniczyłem. Henryk Gaworski jest wierny sobie, choć gdy się dzisiaj czyta jego komentarz z lipcowego numeru „Barw” widać, jak Szanowny Autor rozmiął się z rzeczywistością. Nie mniej może jego postawa jest bardziej autentyczna (niezależnie od tego, czy się z nią możemy zgodzić czy nie) od postaw tych ludzi pióra, którzy swoje poglądy potrafiłi błyskawicznie przestawić o 180 stopni (Uwaga: nie mam tu na myśli cytowanej Anny Bocian, a gdybym chciał wymienić nazwiska, nie starczyłoby miejsca!).

I na zakończenie, jako że stroma z gumy nie jest, pragnąłbym — na własnym, dziennikarskim podwórku pozostawszy — kilka słów poświęcić inicjatywie ośmiu dziennikarzy ze „Standardu Ludu”, którzy wystąpili z propozycją powołania do życia Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Prasy, Radia i Telewizji „Prasa” (co oznacza — jak pisał w liście do koleżanek i kolegów „rezygnację z przynależności do sztucznego tworu jakim jest Federacja Związku Zawodowego Pracowników Prasy, Książki, Radia i TV”).

Wydaje mi się, że o tym, czy jakiś twór jest sztuczny czy też żywy, decydujemy my wszyscy, nasza konkretna działalność. Ponadto uważam, że nigdy dotąd środowisko dziennikarskie nie interesowało się związkiem (chyba w okresie dostarczania przez ten związek skierowania na wezawy bądź ziemniaków, których zresztą w tym roku pracowników „Kamenu” przeważnie pozbawiono), lecz stowarzyszeniem. Teraz, gdy SDP stało się — w myśl nowego statutu — twórczo-zawodowym, nie ma, moim zdaniem, sensu podejmowanie działań w kierunku deintegracji. Sądę, że obecnie i w Stowarzyszeniu można się będzie wyżył za wszystkie czasy. (Pomijam już sprawę nazwy owego „niezależnego, samorządnego” — „Prasa”, jeśli zwłazek ma również skupiać pracowników radia i telewizji, ale to już drobiazg). Odnoszę wrażenie, że na fall ktoś chce wypłynąć. A nie można było wcześniej? Chociażby we wrześniu?

Niezależny i samorządny
M. A. Jaworski

CO kryje się pod nazwą minimum socjalne i jak należy je ustalać? Sprawy pierwszą jest określenie tzw. niezbędnego koszyka dóbr. Rozstrzygnięcia tutaj stosowane mają zawsze charakter arbitralny. Czy koszyk dóbr, wykorzystywany do obliczeń minimum socjalnego, powinien zawierać np. telewizor, robot kuchenny, adapter itd.? Nie mniejsze kontrowersje wywoływać mogą dwa następnę etapy rachunku: ustalenie norm spożycia dóbr konsumowanych codziennie (przed wszystkim żywności) i okresów użytkowania, a tym samym amortyzacji dóbr trwałych. Wprawdzie w zakresie pożywienia istnieją opracowane fizjologiczne normy spożycia białka, skrobi, węglowodanów etc., ale pamiętać trzeba o tym, że na dietę zgodną z tymi normami składać się mogą rozmaite produkty. Podobnie z ustaleniem okresów eksploatacji odzieży, mebli itd. Szacunek tych wielkości w znacznej mierze zależy od osobowości badacza, jego poglądów, własnych upodobań konsumpcyjnych i wielu innych czynników.

Przedstawiam trudności (niektóre tylko) związane z rachunkiem minimum nie po to, aby do badań tych zniechęcać, a wyniki ich dezawuować. Bez względu bowiem na kryteria przyjęte przy szacunku, w jego efekcie ustalimy kwotę, która pozwoli na wskazanie gospodarstw domowych znajdujących się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej. Pamiętać bowiem trzeba o tym, że ustalanie minimum nie jest dla polityki socjalnej celem samym w sobie. Jego obliczenie prowadzi dopiero do skonstruowania narzędzia umożliwiającego badanie warunków życia i tworzenie przesłanek sensownej polityki społecznej. Znajac minimum i liczbę rodzin o dochodach niższych, można sięlić się na diagnozę tego stanu, ustalać szczególnie pilne cele społeczne i wybierać środki (płace, zasiłki, świadczenia społeczne) mające umożliwić realizację owych celów.

Wspomniane znaczenie minimum socjalnego jako instrumentu badawczego i wskazówki dla polityki społecznej wydaje się wielokrotnie ważniejsze niż jego funkcja informacyjna, polegająca na zaspokojeniu ciekawości społeczeństwa. Chociaż tego ostatniego zadania również nie wolno lekceważyć. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, jak żyją jego poszczególne członkowie. Prawo to w przypadku społeczeństwa socjalistycznego, opartego o wspólną własność środków produkcji i współuczestnictwo w rządzeniu, przeradza się w obowiązek. Tym większe zatem musi być zdumienie faktem, że badania nad minimum socjalnym podjęto u nas zaledwie przed dziesięciu laty, a wyniki ich uległy utajeniu i były trudno dostępne nawet dla środowiska naukowego.

Badania te rozpoczęły się na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pierwszy szacunek minimum (dla roku 1970) przeprowadzony został przez profesora Andrzeja Tymowskiego. Z wliczeń jego wynikało, że samotny młody robotnik mieszkający w Warszawie potrzebował wówczas dla zaspokojenia — dość skromnie ustalonych — potrzeb 1515 zł. emeryt — 1202 zł, a czteruosobowa rodzina 4210 zł. Praca prof. Tymowskiego była pionierskim pod względem metodycznym opracowaniem w Polsce. Ale nie tylko — opublikowana w 1973 roku przez PWN, stała się na szereg lat jedyną powszechnie znaną informacją na ten temat. Natomiast wyniki badań prowadzonych od 1975 roku przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych były traktowane jako poufne. Opublikowana w 1977 roku praca Lucyny Deniszduk, zawierająca szacunek minimum, wydana została w niebagatelnej nakładzie... 163 egzemplarzy, ponumerowanych i rozpowodowanych przez IPiSS według imiennego wykazu odbiorców. Były to zatem informacje bardziej tajne, niż uzbrojenie i organizacja armii znana kilku milionom ludzi, którzy odbyli służbę wojskową. Dopiero ostatnio dane te stały się szerzej znane. Wynika z nich, że w 1975 roku minimum dla emeryta wynosiło 1420 zł. dla małżeństwa bezdzietnego 3190 zł, a dla małżeństwa z dwójką dzieci 5730 zł. Z początkiem bieżącego roku kwoty te dla wymienionych typów gospodarstw wynosiły odpowiednio 1930 zł, 4260 zł i 7940 zł. Dla rodzin większych przekraczały 10 tys. zł. Wymienione wielkości minimum trzeba oczywiście traktować orientacyjnie, pamiętać przy tym, że w przeciągu bieżącego roku na pewno wzrosły.

Zestawienie szacunkowych wielkości minimum z dochodami rodzin, znanymi z badań budżetów, pozwala na przybliżone określenie liczebności grupy najuboższej. Obejmuje ona obecnie około 1000 tys. osób z rodzin pracowniczych i około miliona emerytów. W liczbach względnych oznacza to, że niemal co piąte gospodarstwo domowe żyje na krajowej lub poniżej minimum.

W zakończeniu chciałbym powrócić do kwestii jawności badań społecznych w ogóle a badań nad warunkami życia w szczególności. Jeżeli potrąfić zrozumieć intencje ograniczenia obiegów takich informacji to braly się one z obawy o rozszerzenie skali żądań placowych. Publikowanie wspomnianych danych mogłoby mieć takie konsekwencje. Sądę jednak iż nie tylko tak. Uświadomienie prawdy która zresztą każda gospodyni domowa intuicyjnie zna, że (choć coraz mniej liczni) są wśród nas ludzie ubodzy, może w sytuacjach trudnych hamować apetyty placowe lepiej zarabiających, w dłuższej perspektywie czasowej natomiast oddziaływać korzystnie na kryteria ustalania i społecznej aprobatę programów rozwoju.

emzet

JESTEM I sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich. Pragnę skorzystać z przysługujących mi praw i obowiązków wynikających z 3 punktu statutu mojej partii. Dotąd rzadko, mimo że od ponad 30 lat jestem robotnikiem pióra — publicystą i pisarzem — miałem możliwość mówić pełnym głosem w prasie. Zdarzało to się jedynie w pewnych okresach w podstawowych organizacjach i na posiedzeniach wyższych instancji partyjnych. Sądze, że i trzydziestotrzyletnia przynależność do partii daje mi prawa dodatkowe. Z czerwona legitymacją uczestniczyłem bowiem we wszystkich zgryzliwych zakrętach, jakich powojenna historia nie szczędziła polskiej lewicy. Byłem z nią związany już wówczas, gdy kierownicza rola partii nie była w świadomości społeczeństwa tak oczywista jak teraz, a peeselowscy starostowie dopiero pod przymusem przydzielali skromne izdebki tworzącym się komitetom powiatowym PPR i PPS, nawet na ziemiach zachodnich. Myślę, że słowa Bertolda Brechta nie odnoszą się tylko do okresu z czasów opozycji komunistów: Partia nie zasiada w gmachu z wielu telefonami.

Rzeczywiście, nie mogła ona mieścić się w gmachu, skoro KC KPP nawet swoje archiwum przechowywał w sąsiedniej Czechosłowacji. Z chwilą objęcia przez partię kierującej i rządzącej roli trudno, aby znajdowała się jedynie w sercach swych członków, jak to było w okresach działalności nielegalnej. Ci, o których mówi się, iż byli bardziej piękni w rewolucyjnym działaniu i zapale w czasach przedwojennej opozycji i okupacyjnego oporu, musieli nagle realizować swój program polityczny i ekonomiczny, za który siedzieli w Berezie Kartuskiej i więzieniach, za który tyśiące spośród nich zginęło. Tego programu, rzecz oczywista, nie można i nie należało teraz realizować w tajemnych punktach schadzek, ale jawnie i klarownie, w warunkach odpowiadających nowym czasom. Toteż zarówno komuniści, jak i socjaliści, poprzez wykupywanie cegiełek złożyli się na wybudowanie gmachu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Byliśmy dumni z tego, że z samego centrum stolicy rozgłosnie brzmią słowa naszych przedstawicieli. Wybieralnych i ich pomocników. Podobnie rozprzestrzeniliśmy się w województwach, miastach i gminach. Budynki te rozszerzyły się i zagęściły z czasem za bardzo. Zespoły instruktor-skie, kierownicze zawiązały statutowymi prawami instancji wybieralnych. Wiem po VI Plenum, że musi się to zmienić. Bardzo jestem za tym, aby Nadzwyczajny Zjazd to potwierdził. Członkowie instancji, komisje odzyskają wtedy głos.

Wolność przyniosły nam w czterdziestym czwartym i następnym roku Armia Czerwona i towarzyszące jej Wojsko Polskie. Mimo wszystko, co wiemy o tamtych miesiącach i latach, trzeba stwierdzić, że rewolucja dokonała się u nas łagodnie i, niestety, nie do końca. Uważam, że tak naprawdę dokonuje się ona właśnie teraz pełniej, w roku 1980. Lipiec — sierpień są jeszcze jedną znaczącą kartką polskiego kalendarza, ale w rzeczywistości najistotniejsze przemiany nastąpią w najbliższym dwudziestolecu. Jakże po wojnie byliśmy niecierpliwi, jak bardzo ufni! My, komunistyczni romantycy, wierzyliśmy, że najpóźniej w latach sześćdziesiątych na wielkim obszarze między Pacyfikiem a Łabą, a już koniecznie pomiędzy Bugiem a Odrą, mieszkać i pracować będą socjalistycznie niemal aniolowie, odmienni jak kościółko ludzie. Ze zdumieniem spoglądaliśmy stopniowo, że łatwiej przebudować i poprawiać system rządzenia — szczegółnie, gdy dysponuje się siłą — niż sposób myślenia. Zapomnieliśmy, albo po prostu wielu z nas nie wiedziało, że na przykład nowa ideologia, zapoczątkowana u schyłku panowania Mieszka I, torowała sobie drogę znużeniem przez całą epokę Piastów, chociaż także była panującą. Nie popadajmy więc teraz w skrajny pesymizm. Cóż to jest 36 lat i w dodatku po tytu błędach! Potrafimy odrodzić się moralnie i odnowić partię, bo jesteśmy jej siłą, na domiar wiele zrozumieliśmy. Również i to, że za stołu prezydalnego i spoza mównicy nie można w trwały sposób posiadać i utrwalać wielkich idei. Są to tylko miejsca, z których jesteśmy lepiej widziani i słyszani. Najważniejsze jest to, co człowiek mówi bezpośrednio do człowieka, bezpośrednio i poprzez swoje czyny.

Dlatego sądzę, że konieczne są natychmiastowe poważne zmiany w naszym życiu partyjnym. Z powodu swoich poglądów miewalem już dwukrotnie do czynienia z komisją kontroli partyjnej na innym obszarze kraju. W obu wypadkach poprzestano na pouczających rozmowach. Nie wszystkim mogłem bowiem aprobować w 1968 roku, miałem też wątpliwości w trzy lata później. W ostatnim przypadku gwałtownie domagałem się rotacji w kierowniczym aparacie partyjnym. Żądanie to zostało potrącone i nigdy nie wprowadzone w praktykę, choć pragnęły jego spełnienia setki tysięcy członków, które już wtedy były przekonane, że wypaczenia mogą się zrodzić u najlepszemu nawet towarzysza, gdy przez dziesięciolecia przytwierdzony jest do tego samego fotela. Wątpliwy to triumf, że obawy te się sprawdziły, a teraz do nas tak gwałtownie wracają i muszą wnet być jednogłośnie rozstrzygnięte. Uważam, że my, starzy członkowie partii, nie byliśmy dość konsekwentni we właściwym czasie. Nie potrafiliśmy u wielu spośród tych, którzy swoje siły i zdrowie oddali pracując w partii przez pierwsze dziesięciolecie, wyrugować zarozumiałego przekonania, że socjalizm może się utwierdzić tylko z ich obecnością na tym samym stanowisku, iż równie dobrze mogą mu służyć na innym. Wówczas Jerzy Andrzejewski, w jego na sposób wolterowski pi-

sanej „Wojnie skulecznej, czyli opisie bitew i polityczek w Zadufkami”, celował gdzie indziej i nie miał na myśli tych zasłużonych, ale nieustępliwych. Zresztą wróg był wtedy rzeczywistość bardziej widoczny, ale i sporo przeciwników sami sobie przysporzyliśmy przez zbyt doktrynalne postępowanie oraz imaginację. Rządziło się trochę na zasadzie: „trzeba tam postawić własnego człowieka”, „on ma swoje wady, ale to nasz człowiek, dobry towarzysz” itp. Później niektórzy działacze etatowi — dotyczy to także tych, którzy objęli funkcje w bliźszych nam dziesięcioleciach — uczynili ze swoich wydziałów miejsca rozdawania posad wśród „wybranych”; obok ludzi wartościowych znalazło się niestety zbyt wielu takich, którzy traktowali awans nie jako partyjną misję, tylko jako „dobrą posadę”. Ci byli też najczęściej tylko biernymi wykonawcami.

A gdzie miejsce na ideologię i światłą politykę w wydziałach organizacyjnych, ekonomicznych, rolnych, administracyjnych? Jaka rola pozostaje wydziałom urzędów wojewódzkich i miejskich? Co pozostaje rządowi i jego agendum?

Pragnę doczekać w bliskiej przyszłości takiego czasu, gdy komunikat o chorobie działacza partyjnego i państwowego, który prosi o zastąpienie go na stanowisku, wzbudzi we mnie rzeczywistą troskę o jego zdrowie. Bardzo chcę przeżyć chwili,

Moim zdaniem

Tadeusz Jasiński

Je, gdy będę żałować własnego wniosku o ograniczenie lat etatowej pracy w aparacie partyjnym, bo uniemożliwiłem sobie wybór danej towarzyski czy towarzysza po raz trzeci na tę samą funkcję. Pocziesz mnie jednak, że odchodzą oni w odczucie prawdziwego szacunku, a za kilka lat mogą tu wrócić przez wszystkich miłe widzieli. Czy nie powinno być tak, że działacz lub polityk, którego wysunęliśmy np. na I sekretarza KC, odchodzi ze stanowiska w chwale i w wyniku normalnej uchwały Zjazdu, przewidzianej w statucie? Przy ilu nazwiskach z przeszłości naszego ruchu bez wątpliwości pragniemy zamknąć osobowe piasek z dużej litery? Wszystko to także przemawia za ograniczeniem partyjnej pracy etatowej na tym samym stanowisku, szczególnie na wyższych, do dwu kadencji. Tym bardziej, że wzorce osobowe, jakimi się szcycimy, wiążą się głównie z bohaterami, którzy zginęli od kul przeciwników. W sprawie długości pracy szeregowych pracowników politycznych nie mam wyrobionego zdania.

Tow. Gomułka w Październiku ogłosił, że nie kuit jednostki, ale autorytet przywódcy będzie od tamtej chwili świadczył o wartości działacza. Potem nie przeciwstawiał się dostatecznie silnie wpierw prawdziwemu, a następnie reżyserowanemu uwielbieniu i organizowanej klacie. Tow. Gierek obwieścił, że od Grudnia partia będzie kierować, a rząd rządzić, mówił o skromności działacza. Niedługo jednak potem rząd i Sejm otrzymywali ostateczne rozstrzygnięcia, które zapadały na posiedzeniach Biura Politycznego — jak się okazuje z dyskusji w warunkach mało swobodnych — i w poszczególnych wydziałach KC. Województwa, powiaty i gminy kopiowały ten system „kierowania”. Umniejszono również godności głowy państwa. Powszechnie ceniony i szanowany profesor był spychany w cień, nawet defilady bądź raporty wojskowe odbierał nie on, nie minister Obrony Narodowej, ale towarzysz, który tyle prawil o skromności działacza.

Nie przypadkowo publicyści tygodników w swoim czasie rozpisywali się tak obszernie o Leszku Drogoszu, który zdecydował się odejść, chociaż mógł jakiś czas jeszcze zwyćzwać. Wracali do tego niezwykłego nawet w sporcie przypadku...

Powinniśmy, nie tylko w partii, pielęgnować przekonanie, że polityk to nie zawód, to pewne szczególne predyspozycje, wiedza i powołanie. Umiejętności te można potem wykorzystać również we własnej pop. w Instancjach wszystkich szczebli i pozapartyjnym życiu społecznym. Jeśli zdarzy się, że towarzysze czy koledzy zaproszą nas do pracy w komitecie, wybiorą sekretarzem lub prezesem, to nie nam się nie stanie, nie uderzą na honorze, że za trzy — sześć lat wyznaczą do pełnienia tej samej funkcji kogoś innego. Od samego początku powinna być w nas oczywista świadomość, że musimy tak spełnić zadania wynikające z powierzonego nam mandatu wyborców, abyśmy nie obawiali się wrócić do własnego środowiska. Lepiej niech o nas mówią: „mamy w naszym gronie takich to, a takich towarzyszy, którzy byli wybierani, zrobili wiele dla organizacji partyjnej, dla kraju, dla województwa, miasta, czy gminy, i oto teraz są znowu wśród nas. Ich nowe doświadczenia wzbogaciły nasz zespół, naszą placówkę”. A niech o niektórych z nas nie szeptają: „to jest towarzysz, którego wyrzucili z komitetu i zesłali do nas na dyrektorowanie, tam się nie sprawdził, a tu też próbuje dyrygować”. Inna byłaby kultura rozstań, lepsza pamięć po działaczach.

Zarówno w partii, jak i w urzędach, konieczna jest rzeczywista władza Instancji i rad narodowych nad etatowymi pracownikami. Dotąd, niechybnie zwykły członek plenum albo radny przyszedł bez poręki sekretarza lub wojewody i zażądał od instruktora lub urzędnika wyjaśnienia w określonej sprawie, pokazania akt! Poset miewał z tym trud-

ności, a przecież wszyscy oni posiadają do tego niezbywalne prawo; do przeprowadzenia wyjaśnienia w niektórych sprawach powinien skłaniać ich obowiązek. Odstępowali od tego, bo nie chcieli narazić się na odrośwe, ponizające ich uniki i balamulne odpowiedzi. Pracownicy etatowi po prostu odczuwali, że mają wyższą pozycję ponad statutową instancją lub ustawową radą. Pewne zurzędniczenie roli instruktora w komitetach potwierdza przemianowanie go na inspektora. Moim zdaniem — i ten stan trzeba zmienić. Wybrany lub powołany do pracy w komitecie jakiegokolwiek szczebla, nie powinien spodziewać się niczego więcej oprócz zwiększonych obowiązków i politycznej odpowiedzialności. Zadnych udogodnień, przyspieszeń, wcześniejszej ani specjalnej emerytury. Ta ostatnia powinna przysługiwać jedynie tym, którzy działali w najwcześniejszym okresie (przedwojennym, okupacyjnym i, powiedzmy, do 1952 roku), kiedy do takich, jak oni, strzelano. Również i za tamten okres powinni być w szczególny sposób odznaczani. Tymczasem czytając życiorysy odchodzących, stosunkowo młodych ludzi, rzadko można spotkać kogoś, kto nie szczył się godnością kawalera Orderu Budowniczych Polski Ludowej. Nie za wcześniej? A czy można pozostać to szczytne miano tym, którzy budowali źle lub wręcz rujnowali? Oto jest pytanie! Zbyt wielkie apanaże przyciągają karierowiczów, ludzi przypadkowych, a z czasem wypaczają nawet ideowych.

Nie jestem wprawdzie za partią kadrową, ale uważam, że nie jest sprawą normalną, jeżeli należy do niej dziesięć procent wszystkich obywateli. Wolalibyśmy półmilionową, ale taką, której każdy członek będzie naprawdę jednoznaczny ideowo, a także w życiu. Ten szacunek równie u przeciwników politycznych, a już na pewno u wszystkich prawie bezpartyjnych, którzy niejednokrotnie opowiedzieli się po stronie socjalizmu. Może należałoby uchwalić ponowne i rozważne wstępowanie, deklarowanie się do partii, z zaliczeniem stażu? Aby im ten zabieg nie ułatwiał, dotychczasowi członkowie PZPR nie wymagaliby rekomendacji, ale rekomendujący, ci, którzy żyją, oczywiście, mieliby prawo cofnąć swoje poparcie sprzed lat, jeżeli uznaliby, że się pomylili. Los takich towarzyszy niech rozstrzygną instancje wyższe. Sądze, iż ludzie skorzystaliby z możliwości odejścia bez sankcji partyjnych i zawodowych. Tak pomyślane oczyszczenie nie byłoby tradycyjną czystką ani weryfikacją. Bywało i dotąd, że niejedynemu komitet gminny i miejski na posiedzeniach egzekutyw w tym samym dniu zatwierdzał tę samą ilość przyjętych, jak i skreślonych na skutek nieaktywności. Sądze, że ci, którzy by zostali, i nowo przyjęci, mogliby nareszcie utworzyć, reaktywować Komunistyczną Partię Polski, potwierdzić niesłusność decyzji Kominternu z 1938 roku, wyciągnąć konsekwencje z rehabilitacji KPP w 1956. Natomiast jeżeli tak lub podobnie nie postąpimy, musimy w poprawionym statucie zgodzić się z wieloletnią podległością członków, jak to już jest we Włoszech i ma być we Francji. Tylko że my władzę już mamy, oni chcą i muszą pozyskać dla swego programu wszystkich następnych ziomków. Ja osobiście opowiadam się za pierwszym rozwiązaniem. Rozplynęliśmy się w masach, gdy mniej więcej co piąty dorosły Polak nosi czerwoną legitymację, i wcale nie jest to naszą siłą.

Pragniemy, aby się błędy nie powtórzyły. Znowu, i słusznie, mówimy o konieczności oddzielenia kierownictwa politycznego od rządu, o tym, że przedująca rola partii nie ma polegać na wnioskowaniu w szczegóły, że do niej powinny należeć generalia, pryncypia, a imponderabilia tylko wtedy, gdy dostrzeżemy, że z czasem mogą przerodzić się w poważny cień na obrazie socjalizmu w Polsce. Są sprawy, które dotąd rzutowały zbyt mocno na codzienne życie społeczne, polityczne i gospodarcze: struktura komitetów. Wspomniłem już o tym. Te same wydziały w KC, co decernaty wicepremierowskie, a nawet bardziej szczegółowe, bo nakładające się na ministerstwa czy państwowe komitety. Te same komórki w KW co w urzędzie wojewódzkim. Nawiązując do Brechtowskiego niepokoju. Przyszłe komitety wojewódzkie od dawna widzą mi się następująco: I sekretarz z małą grupką pracowników politycznych i technicznych, sekretarz organizacyjny zajmujący się ze swoimi ludźmi problemami wewnątrzpartyjnymi (a w części czołowymi kadrowymi w przedsiębiorstwach i instytucjach) oraz sekretarz propagandy z bardzo rozbudowanym zespołem specjalistów — polityków z różnych dziedzin: kultury, nauki, ekonomiki przemysłowej i rolniczej, organizacji pracy itp. Na zewnątrz musi to być główny dział, propaganda współcześnie pojęta (a nie dziewiętnastowiecznie) stąd powinna wypływać. Inspiracje również. W przedsiębiorstwach, instytucjach i urzędach odpowiadałby za ich właściwą działalność dyrektorzy i kierownicy, niedublowani przez dotychczasowe wydziały. Z działu propagandy, z całego komitetu szłoby wspieranie ideowe, polityczne, psychologiczne fachowych poczynań odpowiedzialnych wydziałów urzędów, przemysłów i w dziedzinie wyżywienia narodu. Ten dział pracy ideowo-wychowawczej miałby też najlepsze rozpoznanie, czy całe działanie partii jest słuszne i skuteczne. Obezwładnione dotąd ciało kierownicze i samorządowe zyskałoby warunki pełnej aktywności, stanęłaby przed nimi konieczność decydowania i odpowiedzialności.

Wrzesień — październik 1980 r.

„CZŁOWIEK Z ŻELAZA”

Rozmowa z Aleksandrem

Sciborem-Rylskim

MIROSLAW DERECKI: — Chciałbym rozpocząć naszą rozmowę od przypomnienia fragmentu wywiadu, którego udzielił Andrzej Wajda przedstawicieli gazetki strajkowej „Solidarność” podczas swego tygodniowego wyjazdu do Gdańska, w ostatnim tygodniu sierpnia 1980 r.: „Myślę, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby udało się zrobić film, który byłby opowiadaniem o synu bohatera „Człowieka z marmuru”. Historia syna. Myślę, że w międzyczasie wy dopisaliście tę historię, dopisaliście ją czynami. Ich obrazem są obecne wydarzenia. Dlatego też wiadomo już, jak ta historia wygląda. Ona już się stała, już się wydarzyła. Mijamy jeszcze nadzieję, że się szczęśliwie zakończy, gdyż jej zakończenie jest tym, co napawa wszystkich największą troską. I... Dlatego chciałbym zrobić kontynuację tamtego filmu, bo mam poczucie, że udało mi się w tym filmie powiedzieć coś prawdziwego, że ukazałem postać robotnika, który ma swój honor, swoją ambicję i swoją świadomość klasową. Chciałbym więc zobaczyć, jak wygląda jego syn. Myślę, że nie jest bez znaczenia fakt, iż jest on synem „Człowieka z marmuru”, że nie zawładnie go. Innymi słowy, że prowadzi dalej sprawę ojca.”

No i oto właśnie Andrzej Wajda przychodzi do realizacji swego najnowszego filmu, którego tytuł brzmi: „Człowiek z żelaza”. Tak samo, jak w wypadku „Człowieka z marmuru”, autorem scenariusza jest Aleksander Scibor-Rylski. Trzeba powiedzieć, że działacie panowie bliskawicznie.

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — No właśnie. Pod koniec sierpnia wróciłem do kraju z Jugosławii, wpadłem nagle w kulminacyjną falę tego wszystkiego, co działo się wtedy w Polsce. Już w pierwszej połowie września pojawił się u mnie Andrzej Wajda i powiedział, że był w czasie strajku w Gdańsku, że zaciągnął zobowiązanie wobec tamtejszej społeczności, że... musimy kręcić film, który będzie kontynuacją „Człowieka z marmuru”. I, że ma już tytuł: „Człowiek z żelaza”. Rozmawialiśmy przez dwa tygodnie, przeluczałem także w tym czasie masę taśm nagranych w Stoczni, przewertowałem górę artykułów, dokumentów, publikacji. A potem siadłem do pisania. Na początku października scenariusz był gotowy.

MIROSLAW DERECKI: — Andrzej Wajda mówi o potrzebie kontynuacji tematu w jego serze (ideowej i historycznej). Rozumiem, że „Człowiek z żelaza”, jako „dalszy ciąg” filmu o Birkucie i jego czasach, będzie nie charakteryzował również podobieństw konstrukcji dramaturgicznej do „Człowieka z marmuru”.

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Tak. Tym bardziej, że chcielibyśmy, aby powstał rodzaj filmowego dyptyku o przeobrażeniach, jakie dokonywały się w naszym kraju i w naszym społeczeństwie, w jego świadomości, w

ciągu ostatnich trzydziestu lat. Zeby można było „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza” wyświetlać nie tylko osobno, ale także w czasie jednego, długiego seansu... Zagrają, nieważne mówiąc, w „Człowieku z żelaza” znane już widokom postaci i akto-rzy z „Człowieka z marmuru”: Krystyna Janda — Agnieszka, Jerzy Radzi-wiłowicz — Maciek Tomczyk syn Birkuta. Akcję filmu osadziliśmy w Gdańsku, w dniach sierpniowego strajku, w realiach nastrojów i „rozmów gdańskich”. Nawet w postaciach występujących w filmie można znaleźć analogie z głównymi bohaterami ówczesnych wydarzeń. Ale „Człowiek z żelaza” trzeba odbierać w szerszym aspekcie. W pewnym momencie jedna z bohater-ek filmu mówi do swojego rozmówcy — dziennikarza: „Bo wie pan, Stocznia — to Polska!”. Filmowe wypadki toczą się w Gdańsku, ale my chcielibyśmy zarazem pokazać w „Człowieku z żelaza” przekrój nastrojów całego polskiego społeczeństwa. To ma być, powtórzę, raz jeszcze, film nie tylko o Stoczni, ale o Polsce.

MIROSLAW DERECKI: — Wkrótce wehdzi na polskie ekrany dwugodzinny dokument „Robotnicy 80”, zrealizowany przez reżyserów Chodakowskiego i Zajackowskiego z Wytworni Filmów Dokumental-nych w czasie ostatnich dni sierpnia 1980 r. na terenie Stoczni Gdańskiej. Widziałem jeszcze we wrześniu pokaz materiałów wyjściowych tego filmu; zapowiadał się rewelacyjnie. Jak ma się akcja „Człowieka z żelaza” do opowieści zanotowanej na taśmie filmowej w „Robotnikach 80”?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Proszę pana, ja też oglądałem materia-ły wyjściowe „Robotników 80”. I właśnie wtedy zdałem sobie ostatecznie sprawę, że pisząc mój scenariusz, powinieniem się trzymać możliwie „jak najdalej” od Stoczni. Bo na temat tego, co się w Stoczni działo, mówi film Chodakowskiego i Zajackowskiego. W moim scenariuszu akcja wchodzi do Stoczni Gdańskiej dopiero na samym końcu, w momencie podpisania porozumienia pomiędzy komitetem strajko-wym i komisją rządową. Zdecydowana większość „Człowieka z żelaza” toczy się na zewnątrz; tutaj się obserwuje i komentuje to, co dzieje się za bramą Stoczni.

MIROSLAW DERECKI: — W „Człowieku z marmuru” mamy dwie postacie central-ne: Agnieszkę, robiącą dyplom reżyserki, młodą współczesną dziewczynę (bohaterkę warszwy „terazniejszej” filmu) oraz mu-

raza-przodownika Birkuta — bohatera czę-sto „retrospektywny”. Postać Birkuta ry-suje się w sposób coraz bardziej wyrazi-sty w miarę, jak Agnieszka odkrywa ko-lejnych ludzi, którzy znali bohatera jej-przyszłego filmu. Na końcu Agnieszka zyskuje „świadomość”, ale czy osiąga zwy-ciestwo? Tego „Człowiek z marmuru” już nam wyraźnie nie mówi. A kto jest po-stacią centralną „Człowieka z żelaza”?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Znowu jest dwóch bohaterów: bohater planu „terazniejszego” — dziennikarz radiowy Winkiel oraz bohater „retrospektywny” — Maciek Tomczyk nie-słubny syn Birkuta. Jego przeszłość stara się „rozpracować” Winkiel przy-syłany do Gdańska przez swoich war-szawskich wysokich mocodawców w misji specjalnej. W czterech blokach retrospektywnych pokazane jest do-tychczasowe życie Maćka Tomczyka. Od czasu, gdy jako student brał udział w wypadkach 1968 roku, przez do-świadczenia gdańskie roku 1970, kie-dy to zginął jego ojciec, poprzez czer-wiec 1976 roku, aż do ostatnich dni, kiedy stanął na czele strajkujących stoczniowców... Różnica w konstrukcji „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza” polega między innymi na tym, że jeśli odkrywany przez Agniesz-kę murarz Birkut wyłania się coraz wyraźniej z przeszłości, to ob-serwowany czujnie przez Winkla stocz-niowiec Maciek Tomczyk tkwi w spo-sób jak najbardziej realny w teraź-niejności. Choć postać jego ja-wi się przede wszystkim w retrospek-tywnych sekwencjach filmu.

MIROSLAW DERECKI: — Mówi pan, że Maciek Tomczyk studiował. Ale kiedy spotykamy go, wraz z Agnieszką, w ostatnich scenach „Człowieka z marmuru”...

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Bo Maciek Tomczyk studiów nie do-kończył. Złamano go śmierć ojca, przeżył kryzys, a potem, gdy doszedł do siebie, nie wrócił już na studia, tyl-ko poszedł pracować do stoczni. Na miejsce ojca. Kiedy spotykamy go w „Człowieku z marmuru”, on już do-szedł do siebie, wydzwignął się, jest na początku pewnej drogi... Ta droga doprowadzi go w końcu do miejsca, w którym będzie się musiała przeciąć z drogą redaktora Winkla z Warszawy.

MIROSLAW DERECKI: — A co się stało z Agnieszką? Z jej gniewem, z jej bez-kompromisowością?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Proszę pana, Agnieszka żyje teraz w małym miasteczku, w swoim mia-steczku rodzinnym. Dyplomu reżyser-skiego nie danym jej było zrobić. Nie-dobrze jest się czasem przeciwstawić zbyt potężnym Prezesom. Agnieszka o-kazała się także w pewnym momencie zbyt słaba, żeby u boku Maćka sta-wić czoła tym wszystkim przeszko-dom, przez które musiał się przebić, i tym wszystkim niebezpieczeństwom, z jakimi wiązała się jego działalność. To ona opowie Winklowi bardzo wie-le o Maćku. I przecież w końcu rzuca wszystko, ten swój miasteczkowy kul-turalno - oświatowy azył, gdzie prowa-dzi jakieś młodzieżowe fotograficzne

kółko zainteresowań: i pojedzie z Win-klem do Gdańska.

MIROSLAW DERECKI: — Bardzo cieka-wnie jawi się ten redaktor Winkiel. Ale znowu też nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mimo wszystko darzy go pan jakąś sympatią. Trochę go pan rozumie, trochę może nawet rozgryszka...

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Winkiel nie jest zły. Jest przede wszystkim słaby. Ja, pisząc ten sce-nariusz, miałem przed oczyma czter-dziestokilkuletniego dziennikarza, zdol-nego w sumie człowieka, mającego kiedyś okres „górnego i chmurnego”. Lecz w chwili, gdy rozpoczyna się akcja „Człowieka z żelaza” (a zaczyna się ona 15 sierpnia 1980 roku, na drugi dzień po rozpoczęciu strajku w Stoczn-i) — dość już zawodowo zrezygnowa-no, dość już cynicznie, a przede wszystkim może — bezwolnie. Takim stworzył go warunki, które przylały do władomości i które powoły w końcu jednak zaakceptował. Może jego postawa jest najgorszą stroną wieloletniej działalności różnych Pre-zesów? Winkiel zostaje nazajutrz po rozpoczęciu gdańskich wydarzeń wy-syłany przez Prezesa na Wybrzeże dla zebrania kompromitujących materia-łów o Maćku Tomczyku, aby można było je opublikować w środkach naj-szerszego masowego przekazu, w naj-bardziej odpowiedniej, przewidywa-nej przez pracodawcę Winkla chwili. To, że do owej „odpowiedniej chwili” nigdy na szczęście, nie doszło, stanowi już osobistą porażkę Prezesa.

MIROSLAW DERECKI: — Winkiel się w końcu odrodził? Czy też „wyrodził się” w pewnym momencie z tego, ku czemu go prowadzono?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — To — też Winkiel, zbierając mate-rialy mające „obciążać” Maćka Tom-czyka... staje coraz bardziej po jego stronie. I wreszcie dochodzi do tego, że redaktor Winkiel nie tylko, że nie nadsyła materiałów do centrali, lecz składa wymówienie z pracy. Jeszcze może nie w sposób zdecydowanie czynny, ale „psychicznie” Winkiel przeszedł na stronę Stoczni. Tylko, że tutaj zaczyna się tragiczna część jego historii: właśnie w owym momencie Winkiel zostaje „zdekonspirowany”. Krąg jego informatorów i rozmówców odkrył, że Winkiel nie przyjechał do Gdańska, jak niegdyś, przed dziesięć-ciu laty, dla pokazania prawdy... Widzi pan, kiedy konstruowałem tę postać, coraz bardziej uświadamiałem sobie, że Winkiel jest jakby przykładem „in-teligenckiego wyzwolenia”. Jego najwie-kszą tragedią jest fakt, że wyzwalając się, zyskując wolność, zarazem zdaje sobie sprawę, iż nie zdola już odzys-kać tego, co dla dziennikarza najważ-niejsze: własnej twarży.

MIROSLAW DERECKI: — To już nie ty-le film „publicystyczny”, jak by się z po-czątku rozmowy wydawało, ale takie się-gający po prawdy ponadjednostkowe i nie związane z geografiami jednego tylko światło-wego obszaru...

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Chciałbym się bardzo, gdyby przy-

Nasze jest dobro i zło

Dokończenie ze str. 1

do normalnego polskiego inteligenta nie dociera. Podczas zaciętych dyskusji o filmowej wersji „Potopu” próbowano małe przekonać, że obraz taki winien odbijać prawdę historyczną, mówiono więc o rzeczach niemożliwych. Film musi być złotym środkiem między niedąsłymi historiami a możliwymi adaptacjami faktów, pojęć i poglądów historycznych przez ludzi drugiej połowy XX wieku. Gdybym pokazał w „Potopie” zamek magnacki tak, jak on wyglądał naprawdę, to za-pewne publiczność obrzuciłaby mnie i autora filmu tymi nieczystościami, które spostrzegłaby w komnatach i innych pomieszczeniach. Gdybym przed-stawił fenomenalnie ostry ostrzał artyleryjski z XVII wieku, kiedy jeden pocisk z jednej armaty padł na 45 minut, okazałoby się to piekielnie nudne dla współczesnej widowni, znającej rytm dział automatycznych dużego kalibru.

Poza tym jesteśmy przywiązani do pewnych wy-odrębnionych faktów, wyciągniętych z całego me-chanizmu dziejów, inaczej mówiąc: w lesie widzi-my tylko to drzewo, które chcemy dostrzec.

Najważniejsza jednak przyczyna mojej złej opinii o świadomości historycznej Polaków wynika z tego, że przeciętnemu człowiekowi historia jawi się jako zbiór ściśle i raz na zawsze ustalonych fak-tów i pojęć, w którym nie można zmienić. Nauka zamienia się w pismo święte, a każda zmia-

na jego wykładni traci tendencją polityczną, je-żeli nie fałszem. Nie jestem pełnym relatywistą w traktowaniu nauk historycznych, nie uważam, że każde pokolenie wymyśla sobie historię na nowo. Pozostaję jednak w przekonaniu, że tylko w przy-bliżeniu, w mniejszym lub większym stopniu, mo-żemy odtworzyć istniejącą niegdyś przeszłość. Takie rozumowanie nie trafia jednak do większości ludzi, budzi nieufność. Naturalnie, wiąże się to z nauczaniem, z forsowaniem przez szkołę określo-nych tendencji politycznych. Mój zaciekły opór bu-dzi wiele „ustaleń” w podręcznikach. Jestem ab-solutnie indyferentny religijnie, ale wydaje mi się, że przedstawiając Kuźnicę Kollatajowską, można i trzeba wspomnieć o duchowym stanie tych dzia-laczy patriotycznych i publicystów. Nieprawdą jest jednak przekonanie, że wszystkie podręczniki są złe. Istnieją także, owszem, ale obok zupełnie do-brych.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Czy nie sądzi pan, że zamykanie się ludzi w historii raz na zawsze ustalonej, może nawet baśniowej, w świecie dzis-niejszej nauki jest formą społecznej samoobrony przed „praniem kładości”, które czasami stoso-wano w szkołach i gdzie indziej?

ADAM KERSTEN: — Tak i nie. Przez trzy osta-tnie lata ostro atakowałem podręczniki i mam prawo mówić o ich pozytywach i negatywach. Natu-ralnie suma przekonań, stereotypów myślowych o przeszłości nie jest niezależna od odgórnego tren-du traktowania tradycji. Ale problem wydaje się bardziej złożony. Zależy od sytuacji idealnej; nauka historyczna prezentuje społeczeństwu — bez żad-nej cenzury, bez fałszów, tendencji, uczciwie — wiedzę o jego przeszłości. No i co się dzieje? Zna-

czna część społeczeństwa odrzuca taką wiedzę, na rzecz tradycyjnych przeświadczeń. Bo tradycja ma to do siebie, że wydarzenia przeszłości analizuje w sposób konserwatywny. Od czasu powstania tego wersetu: „Gdy Adam orał a Ewa przędła, któż wtedy był szlachcikiem” — cała przeszłość jawi się jako wzór idealny. Już nie mówię, że ludzie starzy idealizują, co naturalne, własną młodość... Znaj-dzie pan dziś wielu panegirystów Józefa Piłsudskie-go, ale w ocenie historycznej jest to postać nie-słychanie złożona. Napisałem kiedyś, że po wzięciu jeńców pod Polonką i osadzeniu ich w Tykocinie hetman Czarniecki trochę gładził to bractwo dla wyduszenia okupu... No cóż, nie takie rzeczy zdarzały się największym postaciom historycznym, ale fakt ujawniony przeze mnie wzbudził powszechną deza-probatę nawet w środowisku naukowym! W oczach społeczeństwa przeszłość jest idealna.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Według schematu dramaturgii westernu?

ADAM KERSTEN: — Tak, zgodnie z wizją, że kiedy Adam orał a Ewa przędła...

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Ale czy to mi-lujące namiętne się współczesnych nad historią własną nie wynika z niedostatków rzeczywistości, w której żyją?

ADAM KERSTEN: — Nie. Wynika z komplek-sów, z ciągłego odczuwanego ciężaru kultury szla-HECKIEJ, która w jakimś stopniu i dziś profilu-je polski charakter narodowy i mentalność spo-leczna. Przy okazji chcę wspomnieć, że przez wie-le lat bardzo niechętnie używałem tych dwóch pojęć, uważając, iż nie należy mówić. Zmieniłem jed-nak zdanie — po przeczytaniu znakomitej książki eseistycznej Wasylego Grosmana „Wszystko plynie”, miejscami tak świetnej, jak „Rozważania o wojnie domowej” Jasienicy a analizującej ro-syjski charakter narodowy.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Panie profesorze, jaki zatem powinien być nasz stosunek do historii?

sztła publiczność tak odbierała „Człowiek z żelaza”. Tyko pamiętajmy o jednym: my tutaj rozmawiamy o moim scenariuszu, a jeszcze nie o filmie Andrzeja Wajdy pod takim samym tytułem.

MIROSLAW DERECKI: — A właśnie: skąd tytuł — „Człowiek z żelaza”?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Tutaj trzeba by znowu cofnąć się do filmu o Birkucie. Najprościej można by to ująć w ten sposób: jeżeli Birkut, ten chłopak przybyły na wielką budowę ze wsi, noszący w sobie wartości moralne i psychiczne na wsi przez wieki wypracowane, stanowiące szlachetną niewzruszoną całość był już niemal „gotowy”, ukształtowany, miał w sobie czystość, trwałość i szlachetność marmuru, to nerwowego, podawanego od najmłodszych lat różnym presjom, szukającego swojej właściwej drogi, Maciek Tomczyk życie musiało dopiero wykuć. Tak jak się hartuje i kuje żelazo.

MIROSLAW DERECKI: — Jawi mi się ten przyszły „Człowiek z żelaza” jako film bardziej „skupiony” od „Człowieka z marmuru”, bardziej kameralny...

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Rozmach budowlano - przemysłowy pierwszej połowy lat siedemdziesiątych w tamtym filmie... Poza tym w „Człowieku z żelaza” istnieje jakby trochę inna teza psychologiczna: Winkiel jest produktem negatywnym okresu, do którego sięgamy, ale jednocześnie — wyrosły z tych samych przecież warunków Maciek Tomczyk jest wszak jego produktem pozytywnym. To, co mówimy w „Człowieku z żelaza”, jest bardzo gorzkie, bardzo gorzka jest ta prawda. Ale przecież — istnieje promyk nadziei, ten pozytywny akcent całego filmu: przecież w końcu Maciek nie zginął, on żyje!

MIROSLAW DERECKI: — „Człowiek z marmuru” to także — wiara w zwycięstwo. Zwycięstwo słusznej sprawy. Te sprawy Birkuta i Agnieszki. Czy „Człowiek z żelaza” to opowieść o zwycięstwie?

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: — Tu są różne zwycięstwa: i Macia, i Winkla (choć tak bolesne), i zwycięstwo zdrowego rozsądku... A jeżeli tak wciąż wracamy do analogii i różnic obydwu filmów, to nie zapominajmy, że jeżeli w pierwszym jest między innymi sprawa szukania owych „korzeni”, z których wyrasta nasze dzisiejsze, to w drugim — nielibiegatelną sprawą próby analizy stanu moralnego naszej inteligencji. Jest wreszcie dla mnie bardzo ważną rzeczą fakt, że jeśli tragedia Birkuta polegała na tym, że on, „człowiek z marmuru” pozwolił sobą (bezwiednie) manipulować, to Maciek, jego syn, już od początku się na takie działanie nie zgadza. Jest już o jedno pokolenie mądrzejszy. Ojca — kiedy przejrzał — stał było tylko na protest. Syn — Maciek Tomczyk zaczyna już decydować o przebiegu historii. A nie jest — jak Birkut — jej tragicznym produktem.

ADAM KERSTEN: Emocjonalny, bo to nasza historia, ale i świadomy, rozumny, czyli wyposażony w te cechy, których nam właśnie dziś brakuje. Naród bez wiedzy o własnej przeszłości jest jak człowiek w amnezji — nie wie, skąd się wziął — ale naród, który posiada w świadomości tylko wyrwane kawałki własnej tradycji i nie próbuje (nawet elita) głębiej spojrzeć na historię, jest w niebezpiecznej sytuacji. Szczere, uczciwe, a więc i krytyczne przypomnienie okresu międzywojennego przez profesora Kieniewiczę w Pen Clubie warszawskim z okazji 60-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę spotkało się ze zdecydowaną niechęcią audytorium, składającego się przecież z elity elit intelektualnych kraju. Sala czekała na panegryk, na hymn pochwalny.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — A na co czekał tłum studentów przybyłych na pański pierwszy wykład w sile bodaj 700—800 osób?

ADAM KERSTEN: Oni przybyli na wiec polityczny, ponieważ wcześniej zaprezentowałem publicznie przeciwko próbie zerwania pierwszego organizacyjnego zebrania Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS, czyniąc to zresztą ostro, w języku, do jakiego Lublin nie jest przyzwyczajony. Więc ci młodzi ludzie przyszli nie tyle na wykład popularnonaukowy, co raczej na powtórkę wspomnianej przed chwilą sytuacji. No i spotkało ich chyba wielkie rozczarowanie. Mam nadzieję, że kolejnych wykładów wysłucha mniej osób, ale rzeczywiste zainteresowania historią.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Powiedział pan kiedyś, że mity są piękniejsze, niż rzeczywistość. Ale są też chyba użyteczne, osobście nie wyobrażam sobie świata ludzkiego bez mitów, bez ich akceptacji.

ADAM KERSTEN: — Nie jestem przeciwko mitom i legendom, chodzi mi o to, by ludzie zdawali sobie sprawę, że są to mity, piękne obrazy, które w rzeczywistości mogły wyglądać inaczej. Przy-

— Jak pan ocenia obecne problemy moralnej wartości człowieka oraz gdzie tkwią główne źródła ich kryzysu? — zwracam się do doc. dr. hab. Romana Tokarczaka, autora opublikowanej właśnie przez Wydawnictwo Lubelskie książki „Prawa wierne naturze”.

— Aktualne problemy wartości człowieka są w istocie problemami odwiecznymi. Tak jest — jak sądzę — odnośnie tego, co w moralności najważniejsze, a mianowicie zaleceń ochrony człowieka i kształtowania jego osobowości zgodnie z obowiązującymi w danej epoce wzorcami dobra etycznego. Te odwieczne problemy moralne znajdują jednakże bardzo różne odzwierciedlenie w praktyce społecznej. Interesujące jest zwłaszcza, jak określone systemy polityczne próbują wykorzystywać argumentację moralną dla swoich celów, nie zawsze w duchu rzeczywistej troski o zachowanie moralnej wartości człowieka.

Za główne źródło rodzące permanentne kryzysy mo-

PRAWA WIERNE NATURZE

ralnej wartości człowieka uznają nieprzewidywalną sprzeczność między tym, co obiecują teorie, a tym, co może zrealizować praktyka. Obietnice wyidealizowanych teorii, utrwalanych w świadomości coraz to szerszych kręgów, coraz to wyżej wykształconych ludzi, zderzają się stale z naganną moralnie praktyką, zwłaszcza polityczną. Ludzie znajdują w praktyce nie to (z reguły coś mniej i coś pośredniego), co obiecywała im teoria. Gdy teoria może osiągnąć prostotę, jednolitość, zwartość, harmonijność i dokładność, praktyka jest zawsze skomplikowana, zróżnicowana, rozproszona, pełna sprzeczności i ulotna. Teoria może być racjonalna, bezstronna i obiektywna, praktyka jest także emocjonalna, stronna i subiektywna. Teoria może zakreślać sobie bardzo rozległe horyzonty, praktyka zawężona jest horyzontami ułomności działających ludzi. Teoria rozwija się bez nacisku nieprzekraczalnych terminów, praktyka znajduje się pod silną presją czasu, toteż musi poprzestawać na niższym stopniu jasności i pewności niż myślenie teoretyczne. I co może najważniejsze: teoria jest odwracalna, dokonania praktyczne — na ogół nie.

Jaka więc rada? Doskonalić teorię na miarę potrzeb praktyki, unikając nieodpowiedzialnych idealizacji. Nadto należałoby przyjmować sprzeczności w życiu społecznym jako coś naturalnego i nieuniknionego. „Jakże zbędne byłoby istnienie — pisał jeden z mędrców — gdyby świat nie był ostatecznie sprzecznością, a życie rozstrzygnięciem tej sprzeczności”.

— Co należałoby rozumieć pod pojęciem moralnej wolności człowieka?

— Odróżniam tylko jedną najszerzej rozumianą wolność — wolność do możliwie najpełniejszego komunikowania się tworzących społeczeństwa ludzi. Komunikowanie się przy pomocy słowa, pisma, dzieł sztuki i innych możliwych sposobów. Wszystkie inne, wyróżniane w teorii rodzaje wolności, są tylko pochodnymi tego jej sensu, odnoszonymi do pewnego kręgu spraw — społecznych, politycznych, ekonomicznych, moralnych, religijnych, edukacyjnych, informacyjnych etc. Komunikowanie się ludzi przy pomocy wszelkich możliwych sposobów jest najważniejszą drogą wiodącą do określania treści potrzeb jednostkowych i społecznych, które po zrealizowaniu tworzą wiarygodne świadectwo zakresu istniejącej wolności.

W ogniu walk społecznych ścierają się najczęściej dwa stanowiska dotyczące sensu wolności: maksymalistyczne albo absolutystyczne i umiarkowane albo reali-

zacyjne. Maksymalistyczne stanowisko zajmują częściowo zdesperowane masy ludowe, broniące zaciekle swej wolności. Siły posiadające władzę nawołują z reguły do umiarkowania i liczenia się z realnymi możliwościami. Politycy, reprezentujący te siły, wiedzą bowiem, że nie rzadko ich kariera polityczna zależy od tego, jak uspokajają, łagodzą, przekonywają, obiecują. Mądrość polityczna polega na obiektywnym, a nie subiektywnym, oddzieleniu tego, co możliwe, od tego, co niemożliwe do osiągnięcia. Pomieszenie tego, co możliwe, z tym, co niemożliwe, może prowadzić do groźnych napięć społecznych.

— W czym upatruje pan podstawowe zięzki współczesnego człowieka z materialnym prawem natury?

— Rozpoznamy od najogólniejszego chociażby określenia pojęcia praw natury, a szczególnie materialnego prawa natury. Prawa natury to odwieczne występujące w myśli ludzkiej zasady postępowania człowieka, wysnuwane z różnie rozumianej natury: boskiej, ludzkiej, społeczeństwa. To powinności tak oczywiste, że każdy myślący człowiek nie może ich nie dostrzegać, a tym bardziej ignorować. To trwałe i moralnie dobre treści egzystujące w każdym społeczeństwie. To pewne impulsy sumienia, duszy, serca i umysłu każdego rozsądnego człowieka. To normy wszystkich ludzi uczciwych i szczerzych, z którymi władza tworząca prawa stanowione musi się liczyć, jeśli działa odpowiedzialnie. Prawa natury to współcześnie tak rzadko upowszechniane prawa człowieka, a także tzw. zasady współżycia społecznego, znane w kodeksach prawnych państw socjalistycznych. Wśród praw natury wyróżnia się materialne prawa natury dotyczące kardynalnych, chronionych przez nie wartości (np. życie ludzkie, wolność, sprawiedliwość), i proceduralne prawa natury dotyczące sposobów realizacji tych wartości, tworzące kryteria oceny ustrojów politycznych.

Materialne prawa natury to jedynne prawa, odmienne od praw narzucanych politycznie, których nikomu przekroczyć nie można. I na tym też polegał i polega ich związek z człowiekiem. Nieprzekraczalność ta zasadza się na tym, że człowiek nie może przekroczyć ograniczeń własnej natury, ale i na tym, że arbitralna władza państwowa nie może gwałcić potrzeb splecionych nierozłącznie z naturą ludzką. Prawo natury oznacza swoją obecność w życiu politycznym zawsze wtedy, kiedy zostaje naruszona harmonia między porządkiem praw ustanowionych przez władzę państwową, a prawami natury. Ucisk wywierany przez władzę na wolność jednostek budzi przywołanie, że kierunkom tego ucisku odpowiadają odrębne i przeciwne mu prawa człowieka — wierne jego naturze. Odwoływanie się do praw natury nie ustanie, dopóki popełniane będą niesprawiedliwości i błędy pracodawców i polityków.

— Co to jest właściwie natura ludzka?

— To jedność ogarniająca różnorodność. Jedność materialnej i duchowej strony człowieka zmierzająca do ogarnięcia różnorodności — myśli, odczuć, emocji i odruchów samego człowieka oraz zdarzeń otaczającego go świata. Naturę człowieka kreuje pewna niezbywalna esencja złożona z materialnych i duchowych jego potrzeb odzwierciedlonych w świadomości wszystkich rozsądnych ludzi — ludzkości. Tak jak prawa natury stanowią prawa uniwersalne, o najszerzym zasięgu, tak natura ludzka tworzy ich uniwersalne źródło i podstawę.

W myśli społecznej natura ludzka stanowi odwieczny paradygmat — szczególnie wzorcowy, kiedyś spekulatywny, współcześnie coraz bardziej uzasadniony naukowo. Do paradygmatu tego odwołują się wszystkie gałęzie nauki, tyle tylko, że nauki społeczne wprost, zaś inne pośrednio. Gdyby uczonej udało się zgłębić wszystkie tajemnice natury ludzkiej, politycy mogliby dążyć do osiągnięcia w kulturze humanistycznej tego, czego wcześniej nie osiągnęli teologowie w religii — oparcia powinności moralnych na sprawdzalnych empirycznie faktach. Wtedy też prawodawcy mogliby formułować prawa rzeczywiste wierne naturze ludzkiej.

Rozmawiał: R. Dunia

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Czy historia jest nauczycielką życia?

ADAM KERSTEN: — Nie, na pewno nie w tym sensie, jak to sobie ludzie wyobrażają. Historia może pomóc w zrozumieniu przeszłości i teraźniejszości, udzielić pewnych wskazówek do postępowania w przyszłości. Na jej podstawie nie wolno niczego przewidywać, prognozować, albowiem rola przypadku w życiu jest olbrzymia.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — A jaka świadomość winna wynikać z historii naszych związków z sąsiadami?

ADAM KERSTEN: — Świadomość tego, że nie tylko nas bito, ale że i my biliśmy także, że swego czasu spalono nam Wilno, ale i my spaliliśmy Moskwę, że Polacy i Ukraińcy wzaajemnie wyrządzili sobie wiele krzywd. Powinniśmy w końcu zrozumieć, że w historii wszystko jest nasze: i dobre, i złe... Nie ma dobrych stosunków z sąsiadami bez wzajemnego zrozumienia. Myślę przecież, że przyszłe pokolenia będą rozumiejące i z tego też względu zapraszam swoje wykłady do Polaków XXI wieku. Dzisiaj niechętnie spoglądamy na narody żyjące poza naszymi granicami.

Świadomość historyczna powinna być stopniowo, powoli zmieniana we wzajemnym zaufaniu stron. Pogląd człowieka winien być tolerowany, a jeśli ktoś myśli inaczej, to nie powód, abyśmy od razu obdarzali się ogromną porcją nienawiści. Kilkakrotnie po wojnie widziałem w Polsce rodzące się elementy świadomości wojny domowej, ostatnio w Gdańsku 1970 roku. I jest to jedyna rzecz, której nie chciałbym doświadczyć.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Ja także, panie profesorze. Dziękuję za rozmowę.

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Lopańskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach, ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórnego i Jana Smolarza.

RYSZARD LISKO VACKI

Z WARSZAWY. mojego rodzinnego miasta, w którym przeżyłem okupację, a później 60 dni powstania, wybrałem się na Lubelszczyznę w marcu 1945 roku. Szukałem swojej ciotki, mieszkającej od 1933 r. w Krasnymstawie. Z tym miastem związałem się na kilka lat i był to związek bardzo istotny dla mojej późniejszej twórczości literackiej. Tuż po wojnie poznałem wiele miast i wsi na Lubelszczyźnie; byłem w tamtych latach naoczny świadkiem wielu tragicznych wydarzeń, które z całą pewnością musiały przyspieszyć moją społeczną i polityczną dojrzałość. Widziałem między innymi dramat wsi Wierchowej, w której oddziały NSZ wymordowały 6 czerwca 1945 roku, w ciągu kilku godzin, 197 osób, w większości kobiet, starców i dzieci. Byłem w tej wiosce na drugi dzień po dokonaniu tej zbrodni i chociaż podczas powstania warszawskiego zdążyłem się oswoić z ludzką tragedią, na tragedię w Wierchowej musiałem spojrzeć zupełnie inaczej. Była to dla mnie pierwsza okrutna lekcja związana z najnowszą historią Polski. W Warszawie Polacy ginęli z rak Niemców. Na Lubelszczyźnie zobaczyłem

wojną, w której po obu stronach barykady stali Polacy.

Wspominam tamte sprawy, ponieważ często do nich powracam w swoich książkach. Pisałem o nich obszerne między innymi w powieści „Teraz, zawsze, nigdy”, w tomie opowiadań „Kto grzeszył”. Całkowicie z Lubelszczyzną związana jest moja trylogia „Związek Sprawiedliwych”, napisana dla młodzieży.

W latach 1951—54, w trakcie moich studiów na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej, współpracowałem systematycznie ze „Sztandarem Ludu”, drukując na łamach tej gazety przede wszystkim wiersze. Próbowałem już jednak swoich sił w rzemieśle dziennikarskim. Pamiętam na przykład, że właśnie w „Sztandarze Ludu” wydrukowałem swój pierwszy w życiu reportaż. Był to zresztą reportaż z Nowej Huty, w której pracowałem trzy tygodnie w ochotniczym hufcu.

Z największą jednak przyjemnością i satysfakcją wspominam swoje pierwsze kontakty z „Kamena” i Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, który z wielką życzliwością śledził moje debiuty i wprowadził mnie do środowiska lubelskich literatów. Przez dwa la-

ta byłem przewodniczącym Koła Młodych przy lubelskim oddziale ZLP i do dzisiaj pamiętam wydarzenie będące z pewnością w naszym światku literackim pewnym precedensem. Otóż po ukazaniu się w 1954 roku poematu Konrada Bielskiego „38 równoleżnik” Kazimierz Andrzej Jaworski zaproponował mi, abym przygotował wprowadzenie do dyskusji, która miała się odbyć w siedzibie oddziału ZLP przy ulicy Granicznej. Propozycję przyjąłem, dyskusja, jak pamiętam, była bardzo burzliwa. A precedens tego zaproszenia polegał na tym, że przecież bardzo rzadko proponuje się począt-

kującemu literatowi, aby ocenił doświadczonego, starszego pisarza. To wspomnienie kojarzy mi się teraz z pięknym, twórczym klimatem panującym w tamtych latach w środowisku Lublina.

W czerwcu br. na ogólnopolskim konkursie, zorganizowanym przez Wydawnictwo Poznańskie, moja powieść „Żywoć wieczny” otrzymała drugą nagrodę. Akcja książki dzieje się w latach 1939—45 na Lubelszczyźnie, a głównym motywem jest rękopis Żydów i dzieje polskiej rodziny, która zapłaciła życiem za ukrywanie dwu Żydów.

PIÓTR WOJCIECHOWSKI

RODZINA mojej matki przybyła do Lublina z okolic Czemiernik na Podlasiu pod koniec XIX wieku. Już w Lublinie urodziła się moja matka z Kozłowskich Wojciechowska, tutaj ukończyła prywatne gimnazjum Arciszowej, tu również rozpoczęła studia akademickie i pracę w służbie zdrowia — jako jedna z pierwszych higienistek szkolnych. Po ukończeniu studiów medycznych w Poznaniu matka moja zamieszkała w tym mieście, tam też wyszła za mąż i tam urodziłem się 18 lutego 1938 roku.

Z końcem sierpnia 1939 roku nasza rodzina zjawiała się w Lublinie, który wydawał się wtedy miastem bezpiecznym, odsuniętym od spodziewanej linii frontowej. Losy wojny potoczyły się jednak tak, że zostaliśmy już w Lublinie na długie lata. Zamieszkalibyśmy przy ul. Narutowicza, w mieszkaniu zajmowanym przez moją ciotkę i babkę. Matka od razu podjęła pracę jako lekarz internista, pracę, którą kontynuuje w Lublinie po dzień dzisiejszy. Podczas okupacji działała w wielu organizacjach opiekuńczych, a jako lekarz Polskiego Czerwonego Krzyża współorganizowała legalną i nielegal-

ną pomoc dla więźniów hitlerowskiego obozu w Majdanku [...]

Pliszę tu tyle o matce mojej, ponieważ stwierdziłem: „Jestem synem doktora Wojciechowskiej z Lublina” — było pierwszym moim samorozpoznaniem, a środowisko otaczających ją ludzi było pierwszym środowiskiem, w którym kształtowały się i sprawdzały moje oceny etyczne i estetyczne.

Naukę szkolną rozpocząłem we wrześniu 1944 roku, parę miesięcy po przetoczeniu się przez Lublin frontu. Po ukończeniu gimnazjum im. Jana Zamojskiego opuściłem Lublin aby w październiku 1955 roku rozpocząć we Wrocławiu studia z zakresu geologii [...]

Mieszkam w Warszawie, ale moje związki z Lublinem są nadal bardzo żywe. Są to przede wszystkim związki najmocniejsze — bo rodzinne. [...] We wszystkich moich książkach powracam do krajoznawstwa Lublina i Lubelszczyzny, do spraw ludzkich, z którymi się tutaj zetknąłem, dopiero jednak w „Manowcu” wzmieniam moje miasto rodzinne i nazwę i skąd parę stron prozy wiąże ściśle z topografią Lublina.

Dziennik lektur Bohdana Zadury

Wacław Sadkowski

RADOSĆ czytania” jest książką o charakterze szczególnym, choć może nie w pełni wykrystalizowanym, a mówiąc ściślej — nie do końca przez autora uświadomionym. Rodowód tej książki, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego jest dość typowy dla tego typu publikacji. Autor od lat ze znaczną (a nie najbardziej rychnliwą) systematycznością pisuje recenzje książkowe. Przychodzi więc moment w którym recenzji tych uzbierało się tyle, że autora nawiedza pragnienie ułożenia ich w książkową całość, utrwalenia ich w postaci druku rwartego.

Staje wtedy przed nim kilka niełatwych, bynajmniej pytań, z których najpierwsze dotyczy kwestii: czy recenzje te i szkice w ogóle na wydanie książkowe zasługują? Ma wszelkie powody sądzić, że Zadura bynajmniej tego pytania nie zlekceważył. Spieszę więc zapewnić zarówno jego, jak i czytelników, że w moim przekonaniu pozytywna odpowiedź na to pytanie nie może być kwestionowana.

Pytanie drugie dotyczy kolejności kształtu edytorskiego, a mówiąc ściślej — układu tych szkiców i recenzji przypisanym do wydania książkowego. Zadura świadom jest różnorodności niechęci, jakie wywoływały niejednokrotnie publikacje krytycznoliterackie przygotowywane na zasadzie „zszywkii”, mechanicznego przedruku wycinków prasowych (bywało, że nawet nie uporządkowane wedle chronologii ich powstawania, nie mówiąc o

bardziej skomplikowanych zabiegach kompozycyjnych) — i za wszelką cenę stara się uniknąć wrażenia, że „upycka” w książce to, co uprzednio opublikował w czasopiśmie. Z drugiej jednak strony wydaje się przywiązany do kompozycyjnego i stylistycznego kształtu swych wypowiedzi krytycznych, do artykulacyjnej odrębności każdej z nich — i nie kwapi się podejmować działań takich, jakich dokonywał w swych książkach na przykład Henryk Bereza, komponujący pewne syntetyczne całości z różnych szkiców poświęconych poszczególnym, kolejnym książkom tego samego autora. Nie chce też stwarzać wrażenia, że jego recenzje i wypowiedzi krytyczne są jedynie szkicami do przyszłych ujęć zamierzonych na szerszą skalę.

Toteż decyduje się na układ stosunkowo najmniej deformujący odrębność poszczególnych szkiców: jest to mianowicie układ tematyczny. Po wstępnym szkicu „pełzającym”, wykładającym autorski sposób odczytywania literatury poprzez jej związki z pejzażem macierzy, i otwierającym serie szkiców z tytułowaną nieco pretensjonalnie „linią papilarną i linie historii” następują wypowiedzi o pisarzach — mówiąc umownie — o ustalonej pozycji literackiej (Jastrun, J. J. Szeptański, Terlecki, Andrzejewski, Dowgielewiczowa, Morton, Stanisław Horak, Bogdan Wołowski, Zylińska, Piłot, Gomoliński, Parnicki, Zaleski, Mieczysław Piotrowski, Kwiśniewicz, Elektorowicz i wreszcie Lem, któremu poświęca Zadura cztery kolejne recenzje z czterech różnych książek), potem następuje seria szkiców opatrzonej powatpliwym tytułem „O nas?” i obejmująca wypowiedzi o pisarzach przynależących do pokolenia Zadury i generacji młodszych (znalazł więc tu miejsce na dwa szkice o Edmundzie Piętku, Piotrze Wojciechowskim, Zbigniewie Brzozowskim, Janie Pawle Krasnodębskim i Janie Drzeżdżeniu oraz poledrze szkice o Jańchu-moskim, Bonarskim, Bonastawie Łatawiec, Annie Bojarskiej,

Lohutec, Zurku, Ewie Lipskiej, Siemińskim, Krzysztofie Skudzińskim, Głowackim, Iredyńskim, Stachurze, Lohamerze, Bajonie, Józefie Łosińskim, Ryszardzie Schuberle, Śroczyskim i Kazimierzu Rosińskim). Wreszcie zamknięciem zbioru szkiców poświęconych kilku pozycjom przykładowym (Thorntonowi Wilderowi, pisarzowi duńskemu Ole'owi Sarvigowi, książce Maryny Cwiatajowej „Dom koło Starogo Piłmena”, opowiadaniom Pirandella, cyklowi poetyckiemu Mastersa „Umarli ze Spoon River”, powieści Petra Hirtlinga „Niemsch” oraz „Kwartetowi Aleksandryjskiemu” Lawrence'a Durrella).

I ten właśnie układ jest najsłabszym punktem książki. Autor nie uwierzył we własne siły — nie zrozumiał, że czytelnik sięgnie po jego książkę ciekaw jego, Bohdana Zadury, odczuć i refleksji, oceni i skojarzeń nasuniętych mu przez różnorakie lektury. Nie sięgnie po tę książkę po to, by sobie zrobić jakikolwiek syntetyczny obraz współczesnej literatury (a mówiąc ściślej: prozy, bo — poza Ewą Lipską — Zadura nie zajął się w swych szkicach żadnym poetą), nie traktujemy jej jako żadnego rodzaju „przewodnika” do produkcji literackiej lat ostatnich; sięgnęmy po nią, bo znamy Zadurę — pisarza, czytamy w piśmie literackich także jego szkice krytyczne i ciekawi jesteśmy, w jaki system poglądów na literaturę współczesną, w jaki zespół kryteriów wartościowania i technik interpretacyjnych układała się jego „odczytania” książek.

I przy takim dopiero spojrzeniu na książkę Zadury ujawnia się jej najistotniejsza wartość. Zadura jest bowiem pisarzem niepospolitym nie tylko dzięki swej własnej prozie i poezji, ale także dzięki stosunkowi do twórczości innych pisarzy. Jeśli przyjąć, że w swej oryginalnej twórczości demonstruje kulturę literacką niezwykle rozległą i świadomość artystyczną wytrawną i wszechstronną, to zrozumiałe się stanie także jego systematyczne i chłonne badawcze nieomal zainteresowanie tym,

„co piszą inni”, tymi poszukiwaniami artystycznymi, które prowadzą współcześni mu pisarze, a także tymi propozycjami intelektualno-artystycznymi, które niesie w sobie dziedzictwo przeszłości (szkoda, że nie powtórzył Zadura w tej książce opublikowanego kiedyś w „Przeglądzie Filozoficznym” esaju o etycznych walorach prozy Marcellego Prousta). Jeśli tedy z jednej strony zadziwia wręcz systematyczność i szeroki zakres lektur autora „Radości czytania” z zakresu prozy współczesnej z drugiej zaś tym wyrazistziej staje się pewne pominięcie i luki w obrazie współczesnej prozy nakreślonym przez Zadurę (nie wdaję się w ich wyliczanie, bo rzecz wymagalaby skomplikowanych „odliczeń” pominięć przez autora niezawinionych), a znów jeśli w szkicach o pisarzach obecnych nie sposób byłoby się dopatrzyć nawet odwiecznego rozległości tłumaczeń zainteresowań autora, i stwierdzić tu trzeba najczystszy przypadek wyboru — to uzasadnienia wystarczającego dla tego, by uznać zasadność publikowania w książce takiego układu szkiców upatrywać trzeba w akcjologicznej refleksji, jaka się w nich wyraża.

Literatura piękna (i to zarówno proza, jak i poezja, jak sądzić można stwierdziliśmy tożsamość metodologiczną szkicu o Lipskiej) ze szkicami o prozaikach) jest bowiem dla Bohdana Zadury specyficzna, niepodmienna i niezastąpiona forma poznania — i to odczytywanie coraz to innych okruszków prawdy, coraz to innych odkryć pozwalających głębiej, pełniej i żywiej pojąć dół człowieczą „jest dlań największą radością (a nie pożytkiem tylko) lektury. Jego szkice są niezwykle wnikliwe, rzetelne i sprawiedliwym rachunkiem poznawczego sumienia współczesnej literatury, są zbiorem sygna-

łów zwracających uwagę na pisarzy i książki, po których przeczytaniu zmienia się i wzbogaca świadomość czytelnika, a mówiąc ściślej — które świadomość pisarską Bohdana Zadury wzbogaciły o jakieś nowe elementy, nowe spojrzenia, nowe intuicje choćby. Radość czytania” jest dla Zadury radością myślenia w taki sposób, w jaki bez czytania nie można by myśleć, jest radością płynącą z poznawania człowieka i jego losu w taki sposób, w jaki tylko literatura może go poznawać.

Takie usterkowanie poznawcze szkiców krytycznych Bohdana Zadury jest także przyczyną ich swoistej dramaturgii stylistycznej. Powstały one na ogół w wyniku recenzyjnych zamówień, noszą zewnętrznie znamiona recenzji — i na dobro redakcji, które je zamawiały, zapisać trzeba cierpliwość i uznanie prawa pisarza do wypowiadania się w rytmie rozmijającym się niekiedy z rytmem sprawozdawczych raportów (na ogół zresztą nikt u nas nie przywiązuje nadmiernej wagi do pospiechu w tym względzie). Zadura pisywał zwykle o książkach już przez innych „opisanym” i — stąd w znacznej części jego szkiców owe pastiszowe, syntetyczne reasumpcje krytycznej recepcji poszczególnych książek, a czasami wręcz parodie polemiki i wyraźnie obawiane pragnienia zdystansowania się od obiegowych sądów. W tym rozumieniu dziennik lektur Bohdana Zadury jest także zapisem refleksji na temat stanu współczesnej świadomości krytycznoliterackiej, która jest przecież nierozdzielnie związana z ogólnym stanem świadomości artystycznej, będącej głównym przedmiotem krytycznoliterackich dociekań autora „Radości czytania”.

Bohdan Zadura: Radość czytania. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1959.

ZAMOJSKI KONKURS MŁODYCH

Rozstrzygnięta została kolejna edycja dorocznego konkursu literackiego Klubu Młodego Pisarza w Zamościu. Jury w składzie: Tadeusz Sliwiak — przewodniczący, Andrzej Lam i Henryk Pałak — członkowie, po rozpatrzeniu 22 zestawów poetyckich przyznało następujące nagrody i wyróżnienia: I nagrodę Adamowi Kulikowi (godło „Liść”) II — Piotrowi Szewcowi (godło „Rzym”) III — Krzysztofowi Konopie (godło „Kąt”). Wyróżnienia otrzymali: Zbigniew Dmłtroca, Teresa Malucha, Halina Koper oraz — dwa — Urszula Tochman. Zamieszczone utwory pochodzą z nagrodzonych zestawów.

Adam Kulik

II

Nasza zwykła, powszednia wielkość niechże przyjdzie,
niech nie marza o niej poeci;
nie wzięliśmy się wczoraj — sarkofagi nie stoją puste.
Dzieci przy nich kładą kwiaty i przy orłach.

III

Słowa są jak głód i jak ból,
jeżeli nie znajdziesz papieru lub lekarza
możesz uwierzyć w śmierć zadaną sobie,
w jej nieuchronność.

IV

Dzieci rodzą się i tańczą.
Jak je wzwoląć aby poruszyły ziemię
bez pęt i bez zadawania cierpień,
niechby poszły we wszystkie dni z radością
a na czekających spadł deszcz różanych płatków
i oby lęk nie zaćmił nikogo.

V

Plaszcz co zamienia przydrożną skalę
w zdrowe łożo pełne niepokoju,
czekam aż krew spływająca do głowy
przyniesie tę dziwną jasność,
aż stanę się udziałem:
poszedłbym także.

* * *

wrogując nieuchronności kształtów i górowaniu myśli
rzeczowości rzeczy i cielesności ciała
naturalnej obronie bieli i czerni
wystawałem gotowy przyjąć gdy skiniesz
zauważałem nawet chwilę której zmęczenie
naprężało się w subtelny sens
— brzmiały w dali wyspy
skapileś jakbym poznał jakbym był godny
jakbym cię co dzień żarliwie prosił
a mimo to ciepła we mnie tyle co w dziecku
pierwszy raz patrzącym na wielką wodę

OBJAW RÓŻANYCH DRZEW

to ja
do mnie przychodzą noce korzyć się i spowiadać
z powszednich przewin dnia
przygarniam je i leczę
forsycje we mnie kładą kadzie miodu
ufne w posłuch pszczoł których ucę tańca
zanim łąka zbierze kwiaty
pachnące wyznania i odcienie we mnie znajdują zapowiedź
w kropki krwi — nasieniu kosmosu
we mnie znajduje ład kto przyjdzie
uściskną każdą dłoń
to ja twoja niwa gotowa plonąć się i cienie
kiedy przyjdiesz z ziarnem
dziedzictwo chłodu i lęku
i pierwsze załamanie światła

broń mnie: objawem różanych drzew jest samotność

Piotr Szewc

DLA RZYMU SONET I

Niechaj się późne żale rozpromienią
Na świat przyszedłem w Rzymie i Rzym wrócił
Osip Mandelstam

Oto rani powietrze błyskający topór
Wbił się w ziemię zmiażdżony i nobity cokół
Jęk umarłych płacz kolumn od morza wiatr wieje
Kości skrzą się fosforem za wzgórzami dnieje

Światło przeszło promieniem przez wzburzoną chmurę
Białe murv odkrywa z siwego całunu
Cień cyprysów wyszczupłał ucichł tętent kopyt
Rzym się w ciemność zanurzył nadybrzańskiej nocy

I mgła nagle opadła w westchnieniu głębokim
Gdzie jest Rzym nie widziałem przesłoniętym okiem
I błysnęła na niebie pierwsza biała gwiazda

Odsłaniając kamienie skruszonego miasta
Ale Rzymu nie pobił błyskający topór
Takiż stoi w tym miejscu jak i kiedyś cokół

DLA RZYMU SONET II

Kto kolumny pokruszył Rzym jest niczym rana
Otwarta i krwawiąca w ustach leży piana
Jakiś ptak stoi w górze podniosło się słońce
Deszcz spadł białą komunią w ogrody kwitnące

Kto kolumny pokruszył tu rękojeść miecza
Jak i Rzym potrzaskana mchami się oblecze
W morzu żagle wzdęte wiatr liście poruszył
Czas połamał Kościoły jesień liście skruszy

Strzelił w niebo jak cyprys ponad miasto płomień
I na wysokość oczu chciałem podnieść dłonie
Biała luna opadła na kwitnący ogród

Za późno już na kwiaty za późno na odwrót
Jeszcze światło wtryska a wokół ciemności
Świeci próchno ogrodów świecą Rzymu kości

Krzysztof Konopa

I

ze śniegu piór gołębic poznasz
gdv zmierzchem
zmarszczą brew miękka lotu
że miasto sennie
wieczór z szarości miska
nad starówką stanie
wieżycę ratuszową zmveje krótkim deszczem
chwila a cienie ormian znowu zaczną kupezyć
ambrozjami pogodnej krótkiej letniej nocy

II

zanim ptak się rozskrzydli
Ietem dzień rozsypła
póki co
(choć hałas ledwie drzemie w bruku)
konnica starych domów
zamojskie podcienia
przystanąły znów w rynku
z jego dna chłód piją

III

noc gra na okarynach uspiionych podcieni
płyną naręcza woni leśmianowej łąki

niedługo świt o dzwony kolegiaty brzęknie
wieżyczek ratuszowych zaczerwieni paki

przecież dzień nie wypłoszy czasu bo on mieszka
we wnętrzu perły którą hetman złowił

noc gra na okarynach uspiionych podcieni
cichutko śpiewa miastu że rodzi się

nowe

ZŁAMANIE impetu armii Dybicza na polach grochowskich i tym samym uratowanie egzystencji powstania spowodowało, że na południowy teatr działań dopiero teraz zwrócono baczniejszą uwagę. Było to następstwem wyraźnego unikania przez nowego wodza naczelnego, gen. Jana Skrzyneckiego, większych operacji na głównym obszarze działań z obawy, aby ewentualna przegrana nie zakończyła się klęską powstania. Tej tchórzliwej strategii nie zdolał zapobiec słaby rząd, którego prezes, książę Adam Czartoryski, utwierdzał jeszcze wodza w tym przekonaniu. Odtąd już do końca wojny występuje powtarzająca się prawidłowość. Gdy na głównym teatrze działań pod Warszawą następuje zastój, wówczas na skrzydłach podejmowane są akcje zaczepne. U podstaw działań niewielkich korpusów, rzucanych kolejno na po-

zowane działania sięga swymi początkami 1809 roku, oparta była na pracy szpiegów i emisariuszy. Werbowano ich do tej trudnej i niebezpiecznej pracy różnymi sposobami, czasami decydował nawet przypadek. Ze względu na szczególne kwalifikacje w polskim wywiadzie tego okresu znaleźli zatrudnienie agenci zleniawionej przez społeczeństwo Tajnej Policji ks. Konstantego, rehabilitując się tym samym częściowo przed narodem. Szczególną rolę w pracy wywiadu odegrali jednak polscy oficerowie, zwłaszcza kwatermistrzostwa, posiadający specjalne przeszkolenie w tym kierunku. Szpiegzy nasi, co potwierdzają dobrze zachowane do dnia dzisiejszego akta wywiadu polskiego, docierali nawet do głównej kwatery wroga, przynosząc pierwszorzędnej wagi informacje. Dla zachowania maksimum bezpieczeństwa często szyfrowano meldunki. Odczytać je

Lublin, po miesięcznej okupacji, entuzjastycznie witali wkraczające wojsko polskie. Z tej okazji miasto rzeszycie oświetlono. Mieszkańcy zapraszali żołnierzy do domów. Dla uczczenia generała-oswobodziciela w teatrze, szczerze wypełnionym przez publiczność, grano poemat sceniczny Nowińskiego „Orzeł Biały”, z odpowiednimi wstawkami. (Prapremiera tej sztuki odbyła się w Nowy Rok 1831). Po trzydniowym pobycie w Lublinie, gdzie pod pomnikiem unii Korony z Litwą wojsko złożyło przysięgę wierności ojczyźnie i Rządowi Narodowemu, oddziały Dwernickiego opuściły miasto. Po latach uczestnik działań tego korpusu, student Uniwersytetu Warszawskiego Jan Bratkowski zanotował we „Wspomnieniach z powstania 1831 r. i pierwszych lat emigracji” (Kraków 1966, s. 60-61): *Jak przyjęcie nasze w Lublinie było serdecznym, tak też i pożegnanie było rozczulającym; [...] Wszystkie okna były przepelnione kobietami. Obrzucano nas kwiatami naturalnymi i sztucznymi, które chwytaliśmy skwapliwie w nadstawione czapki jako miły upominek tej patriotycznej ludności i zachętę do dalszych zwycięstw.*

150 ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W Lubelskiem⁽²⁾

Jan Skarbek

łudniowy teatr, nie było aż do końca maja 1831 r. żadnego jednolitego planu operacyjnego. Kolejne przedsięwzięcia pociągały za sobą niepotrzebne rozdrabnianie sił. Posunięcia te, w rachubach wychodzącego z błędnych założeń Skrzyneckiego, miały nie tylko przeszkodzić Kreutzowi w próbach sforsowania Wisły, ale poprzez dywersję na tyłach Dybicza zmusić go bez boju do wycofania się z Królestwa.

Po bitwie grochowskiej odżył rozpatrywany w początkach lutego 1831 r. plan wyprawy na Wołyń, wniesiony obecnie przez członka Rządu Narodowego Joachima Lelewela. Po naradach sztabu i rządu, pod wpływem Prądzińskiego, 28 II zdecydowano o wysłaniu za Bug 1500-osobowego oddziału. Celem tej akcji chciano nadać duży rozgłos i skierować na nią uwagę wojsk nieprzyjacielskich. Spośród kilku kandydatur wybór padł na tego kawalerzystę, w opinii współczesnych człowieka o dużych zdolnościach operacyjnych, gen. Józefa Dwernickiego, opromienionego zwycięstwem pod Stoczkiem. Zresztą sam generał nosił się z tą myślą od dawna.

Akcja Dwernickiego poprzedziła aktywna penetracja terenu przyszłych działań przez wywiad polski, nie spisujący się dotąd (w pierwszym okresie wojny) najlepiej. Służba ta, której organi-

zacja była możliwa tylko po zastosowaniu odpowiednich kluczy, np. liczbowych. Stosowano także tzw. atrament sympatyczny. Najwięcej jednak informacji dostarczało społeczeństwo polskie w poczuciu patriotycznego i obywatelskiego obowiązku. Najpochlebniejsze świadectwo narodowi polskiemu wystawił głównodowodzący armią carską gen. Iwan Dybicz. W liście z 16 V 1831 r. pisał do Mikołaja I: *Co się tyczy środków, za pomocą których nieprzyjacieli o wszystkich przedsięwzięciach naszych zawiadomionym zostaje, można twierdzić, że każdy niemal mieszkaniec jest dla niego emisariuszem* (W. Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830-31*, Warszawa 1930). W Warszawie działał także polski kontrwywiad. Na pocztach funkcjonowały tzw. „czarne gabinety”, gdzie przeglądano korespondencję podejrzanych osób. Dzięki temu np. w lutym zlikwidowano w stolicy kilkusobową komórkę wywiadowczą przeciwnika.

2 III 1831 r. Dwernicki przeszedł Wisłę i wkroczył do województwa lubelskiego. Wbrew rozkazowi prowadził cały korpus liczący ponad 6 tys. żołnierzy. Z Puław przez Końskowolę, Markuszów, rozbijając po drodze próbujące mu stawić opór oddziały nieprzyjacielskie, 4 III wkroczył do Lublina, który opuścił wcześniej Kreutz, uprzedzony o jego marszu przez polskiego dezertera.

Wychodząc z Lublina, Dwernicki zrezygnował z działań przeciwko Kreutzowi. Zrezygnował z działań po drodze fałszywe informacje co do celu i siły korpusu, przez co wprowadził w błąd wywiad wroga, pospieszonym marszem, mimo roztopów wiosennych i katastrofalnego stanu dróg, 13 marca 1831 r. stanął pod Zamościem, znikając nieprzyjacielowi z pola widzenia. Na skutek tego przez długi czas Rosjanie, zasilani coraz to nowymi siłami wydzielanymi z armii głównej Dybicza (w końcu osiągnęły około 20 tys.), uganiał się bezproduktywnie za generałem po całym województwie. Szczególnie obawiali się przedarcia powstańców na Wołyń, słabo obsadzony wojskiem. I chociaż Dwernicki nie osiągnął zamierzonych celów — pobicia Kreutza i oswobodzenia województwa — to jednak działania te przyniosły armii polskiej niezaprzeczalne korzyści. Zmusiły bowiem przeciwnika, liczącego po bitwie grochowskiej na kapitulację Polaków (tendencje takie silnie uwidoczniły się w Warszawie), do wydzielenia znacznych sił z wojsk stacjonujących pod Warszawą, pozabawiając je przy tym potrzebnego wypoczynku. Nadto w opinii społeczeństwa polskiego zatarte zostało, co miało duże znaczenie moralne, niekorzystne wrażenie bitwy grochowskiej.

W trakcie polskiej ofensywy wiosennej (Wawer, Dembe Wielkie, Iganie), gdy do szczytu doszły nasze siły i wola oraz wiara w zwycięstwo i zapal żołnierza, dowództwo polskie, bez dostatecznego przygotowania, dla związania sił Kreutza w czasie wyprawy Dwernickiego, podjęło decyzję o przerzuceniu do województwa lubelskiego korpusu gen. Juliana Sierawskiego. Przy braku rozstrzygnięcia na głównym teatrze działań była to decyzja bardzo ryzykowna. W czasie, gdy Dwernicki znajdował się już na Wołyniu, 14 i 15 kwietnia Sierawski ze słabo uzbrojonym i wyszkolonym wojskiem liczącym ponad 6 tys. ludzi, po nagłym nieustannie przez sztab główny (nie posiadający dobrego rozeznania w sytuacji), rozpoczął działania wojenne przeciwko Kreutzowi. Od razu uwidoczniła się wyraźna przewaga nieprzyjaciela, który — co widać na załączonej mapce — nie dopuścił Polaków w głąb województwa. Na małym obszarze nad Wisłą, w starciach pod Radawczykiem, Bełzycami, Wronowem a zwłaszcza w kilkugodzinnej bitwie pod Kazimierzem, Polacy ponieśli znaczne straty. Przewagi nieprzyjaciela, który (jak i strona polska) popełnił błędy wojskowe, nie mogło zniwelować ogromne po-

Dokończenie ze str. 1

np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie ruch ochrony konsumenta ma głębokie tradycje. Wspomnijmy tylko o kilku z wielu organizacji. National Consumers League jest najstarszą organizacją konsumentką w USA, założoną w 1899 r. przez Florence Kelley; do chwili obecnej zajmuje się ochroną obywateli na rynku i w pracy, a efektami jej działań są wyodrębnione listy towarów bezpiecznych dla człowieka w sensie wpływu na zdrowie ludzkie. Consumer Protection Center dostarcza informacji o ochronie praw, a także przygotowuje propozycje takich praw jak również pomaga różnym stowarzyszeniom w egzekwowaniu tych praw. Consumer Federation of America, skupiająca przeszło 200 narodowych, stanowych i lokalnych organizacji, analizuje rezultaty działalności publicystycznej, prawnej i ekonomicznej w zakresie ochrony konsumenta, jak np. funkcjonowanie aktów ochrony konsumenta, zabezpieczenia zdrowia itp.

Szczególną rolę odgrywa założone przez Ralpa Nadera, aktywne społecznie zrzeszenie (Public Citizen Inc.), które zajmuje się wieloma dziedzinami ochrony praw obywatela. Skupia ono w chwili obecnej dwadzieścia grup zajmujących się różnymi zakresami ochrony konsumenta. Poczynając od lekarstw, określenia szkodliwości pestycydów, przez testowanie bezpieczeństwa samochodów, do określenia

Jak bronić konsumenta?

norm radioaktywności oraz organizowania protestów przeciwko budowie nowych elektrowni atomowych. Związek ten cieszy się dużą popularnością w społeczeństwie amerykańskim, a wielu amerykańskich konsumentów przed dokonaniem decyzji o zakupie danego towaru sięga do materiałów publikowanych przez agencje związków. Wszystkie z wymienionych stowarzyszeń i organizacji prowadzi prawnie porady lub pośrednictwo w tym zakresie, organizują informację telefoniczną, przygotowują audycje radiowe i telewizyjne, wydają czasopisma konsumentckie.

Podane przykłady amerykańskie można uzupełnić informacją o ruchu konsumentów w Europie. We Francji Krajowy Instytut Konsumpcji ma na swoim koncie szereg sukcesów w zakresie ochrony konsumenta — od ustaw dotyczących zakazu produkcji szkodliwych środków konserwujących po zakaz używania hormonów w hodowli zwierzęcej i zasady jasności reklamy określającej skład produktów i ceny w jednostkach porównywalnych.

Jeżeli popatrzymy na doświadczenia naszych północnych sąsiadów, dotyczące chociażby głośnego zakazu produkcji aerozólów ze względu na ich szkodliwość ekologiczną, to okaże się, że wzorów do takiej działalności nie brakuje.

Oczywiście może u nas rodzić się odruch zniecierpliwienia wśród tych wszystkich, którzy bezskutecznie tracą czas na kupienie towaru w sklepie. Czy potrzeba nam ochrony konsumenta, skoro sprawą najistotniejszą są permanentne braki w zaopatrzeniu i za szczęśliwców uważają się ci, którzy mogą nabyć określone dobro? To prawda, ale potem zaczynają się problemy z naprawami gwarancyjnymi, zwrotem uszkodzonych towarów, częściami zamiennymi, czy chociażby marnotrawstwem wynikającym z wielkości opakowań lub ich niefunkcjonalności.

A zatem postawmy pytanie, czy konsument w socjalizmie jest suwerenny? Wielu ekonomistów uważa, że tradycyjnie rozumiana suwerenność konsumenta nie może mieć miejsca w naszej gospodarce. Podstawowymi argumentami w tym przypadku są zazwyczaj: obiektywna prawidłowość koncentracji środków i centralizacji produkcji, brak swobodnie działającego rynku i swobodnego kształtowania się cen (co prowadziłoby zresztą do realizacji preferencji ekonomicznych wielkich przedsiębiorstw a nie konsumentów), oraz fakt, iż rachunek rynkowy jest z natury statyczny, co przy zasadzie suwerenności mogłoby doprowadzić do wadliwego rozwoju gospodarki.

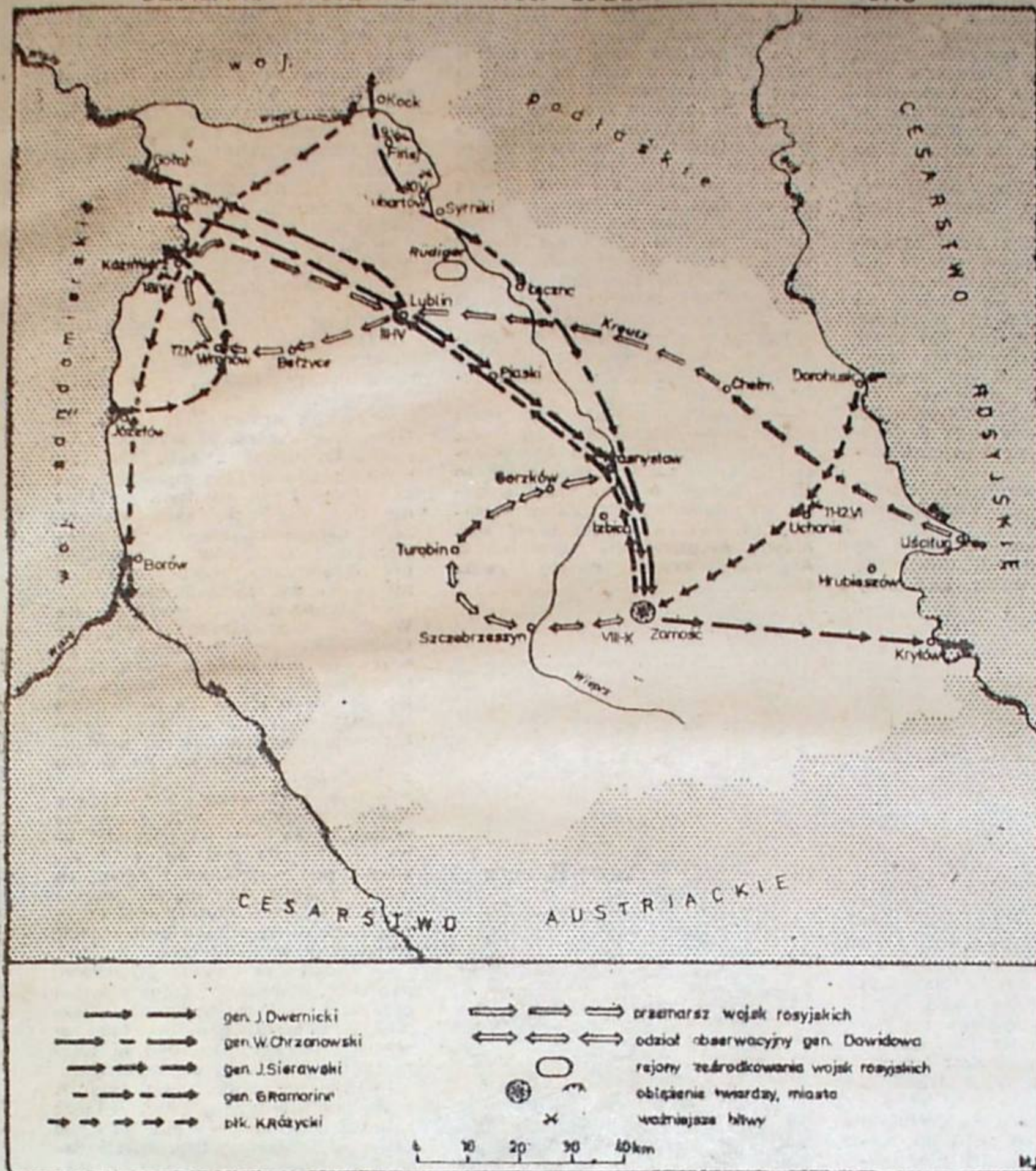
Czy istnieje zatem możliwość po-

stawienia problemu suwerenności konsumenta w ustroju socjalistycznym — jeżeli tak, to w czym się ona winna przejawiać?

Suwerenność kojarzy się nam tutaj z niezawisłością i z dużym stopniem zgodności między podażą i popytem. Dla gospodarki każdego typu występują istotne ograniczenia w suwerenności konsumentów, wynikające z istniejących mechanizmów kierowania rynkiem. Ograniczenia te w gospodarce socjalistycznej wynikają z planowych proporcji funduszu spożycia, określonej wielkości i określonego rozkładu dochodów, określonej podaży i określonego układu cen. Przy czym należy pamiętać, że w ramach manipulowania tylko cenami, płacami i innymi metodami makroekonomicznymi istnieje duże zróżnicowanie spożycia w zależności od poziomu wykształcenia, przynależności klasowej i warstwowej, regionu gospodarczego i kulturowego oraz innych czynników pozaekonomicznych. Oznacza to, iż istnieje zakres, w którym elementy ekonomiczne mają niewielką siłę oddziaływania. Należy zatem określić zakres suwerenności, uwzględniający wcześniejsze założenie prawa konsumentów do ochrony swoich interesów.

Pierwszy element tej suwerenności związany jest z prawem konsumentów do kontrolowania struktury i

DZIAŁANIA WOJENNE W WOJ. LUBELSKIM W 1831 ROKU



Rys. Maria Juran

święcenie oficerów polskich (niektórzy z nich byli uczestnikami kampanii napoleońskiej w Hiszpanii), jak i młodego żołnierza polskiego, w znacznej części rekrutującego się z tego terenu i przechodzącego tu swój chrzest bojowy. Nieudana wyprawa Sierawskiego, za co pozbawiono generała dowództwa, miała poważne konsekwencje na tym

odcinku frontu. Przede wszystkim Rosjanie już trwale umocnili swoją władzę w województwie lubelskim, ograniczając tym samym możliwości administracji powstańczej w terenie, działającej z dużym poświęceniem, często na styku z nieprzyjacielem, w oparciu o twierdzę Zamość.

c.d.n.

wielkości podaży. Dotychczasowa praktyka udowodniła w pełni, jak błędne było założenie, iż centrum planujące odzwierciedla preferencje siły społecznej, która go wyłoniła. Spowodowała to, iż centrum rościło sobie prawo do tego, iż wie lepiej niż sami zainteresowani, czego oni sobie życzą i co jest im potrzebne. Mechanizm ten, ograniczający swobodę producentów, deformujący strukturę podaży przez system cen, spowodował niemożność zaspokojenia potrzeb konsumentów oraz oderwanie się struktury produkcji od zapotrzebowania rynku. Produkcja artykułów bezwartościowych i mało użytecznych winna być stale kontrolowana i wykluczana, tak by zmuszać zakłady do zmiany asortymentu, z jednoczesnym korygowaniem w ten sposób, aby przedsiębiorstwa były zainteresowane produkcją.

Drugi element suwerenności wiąże się z prawem do pełnej i wiarygodnej informacji o towarze i usługach. Za to, aby informacja była prawdziwa, odpowiedzialność powinien ponosić producent, kontrolowany przez ruch ochrony konsumenta. Kompletność informacji o składnikach towaru, jego rzeczywistej wartości użytkowej jest podstawą dla dokonywania wyborów przez konsumentów. Sprawa informacji dotyczy również cen; funkcja informacyjna ceny jest w chwili obecnej bardzo często funkcją dezinformacji, gdzie konsument dokonując wyboru nabywa towary gorsze jakościowo — po odpowiednio wyższej cenie.

Trzecim elementem suwerenności musi być społecznie akceptowana ocena bezpieczeństwa towarów i usług, zarówno ze względu na ochronę zdro-

wia, jak też ochronę środowiska naturalnego. Taką ocenę produktów, wraz z wylawianiem produktów szkodliwych dla życia i zdrowia konsumentów, muszą prowadzić konsumenci w imię ochrony własnych interesów.

Jest to jeden z ogromnych paradoksów, że obywatele w społeczeństwie socjalistycznym są narażeni na manipulowanie na wmawianie im produktów i usług często w nie mniejszym stopniu, niż w gospodarce kapitalistycznej. A dzieje się tak, ponieważ manipulowanie zostało ułatwione brakiem towarów na rynku i ponurą determinacją konsumentów, którzy muszą nabyć towar, jaki jest, gdyż nie mają wyboru.

Ochrona konsumenta staje się zatem tym ważniejsza, im problem nierównowagi rynkowej i deficytu surowców ostrzejszy. Jeżeli producent przeznacza surowiec na produkcję przysłówiowych „bubli”, nie jest to wyłącznie jego sprawa, albowiem pojawia się wówczas problem marnotrawstwa surowców, energii, pracy ludzkiej na towary o niskiej społecznie użyteczności. Powstaje pytanie, jak się przeciwstawić producentom w zakresie złych towarów, a następnie: czy w tym względzie nie u nas nie robiono?

Faktem jest, że taka działalność była podejmowana przez wiele instytucji i organizacji, poczynając od Sejmu, w którego gestii znajduje się ochrona interesów konsumentów na drodze prawnej, a kończąc na działaniu organów prezeń powoływanych. Szczególne znaczenie przypadało w tym zakresie Najwyższej Izbie Kontroli oraz sejmowym komisjom. W ramach rządu sprawy konsumentów są zlokalizowane w Ministerstwie Handlu We-

wnętrznego i Usług, prowadzącym (poza działalnością prawną i kontrolną) prace poprzez Ośrodek Badania Rynku i Współpracy z Konsumentem „Opinia” przy Instytucie Handlu Wewnętrznego i Usług. Wśród innych instytucji, które służą ochronie interesów konsumenta, wymieniane są: Instytut Wzornictwa Przemysłowego, Państwowa Inspekcja Sanitarna, Instytut Żywności i Żywności, Polski Komitet Normalizacji, Miar i Jakości. Do ochrony takiej były zobowiązane związki zawodowe i inne organizacje społeczne, jak np. Liga Kobiet.

Wydużanie tej listy nie spowoduje, że pojawi się nam spójny i kompleksowy program działania. Takiego programu nie sformułował utworzony w 1978 r. przy Radzie Ministrów Komitet ds. Rynku Wewnętrznego którego było to jednym z zadań.

Zatem kwestia zorganizowania się konsumentów celem ochrony własnych interesów jest dalej otwarta. Zakładam, że dla skutecznej ochrony konsumentów potrzeba kompleksowego programu oraz odpowiadającej wymogom chwili siły społecznej umieszczonej w istniejącym porządku społecznym. Powoływanie ruchu ochrony konsumenta jest etapem następnym, obecnie należy stworzyć płaszczyznę — w ramach organizacji związkowej i samorządowej przede wszystkim — do szerokiego podjęcia tej problematyki z równoczesnym powołaniem sejmowej komisji ds. ochrony konsumenta. Miejscem, przy którym winny ogniskować się działania „lobby konsumentckiego”, powinien być parlament. Jak najszybciej musi on zająć się kwestią odpowiedniego aktu prawnego, gwarantującego

prawo konsumentów do wpływu na strukturę podaży, do pełnej i wiarygodnej informacji, do skutecznego przeciwdziałania manipulacji konsumentem. Konsekwencją takiego aktu byłoby powołanie instytucjonalnego komitetu przy Sejmie (a nie przy rządzie), który w swoich działaniach strzegłby praw konsumentów, spełniał funkcje kontrolne w stosunku do producentów, prowadził działalność wydawniczą i informacyjną, a także iniejkował i koordynował badania i ekspertyzy nad bezpieczeństwem poszczególnych towarów i usług. Komitet ochrony konsumentów winien mieć charakter nadrzędny w stosunku do pozostałych instytucji rządowych i społecznych w zakresie ochrony spraw konsumentów, jednocześnie przyjmując zasadę ścisłej koordynacji działań swoich i związków zawodowych, a także organizacji społecznych i ruchów samorządowych, w egzekwowaniu praw konsumentów.

Uważam, że w gospodarce socjalistycznej istnieje pilna konieczność określenia praw konsumentów i jednocześnie pełnego ich respektowania przez producentów. W sytuacji, kiedy zmonopolizowani producenci dyktują konsumentom, które z ich potrzeb i w jakim stopniu będą zaspokajane, musi nastąpić reakcja nadrzędnych organów władzy kładąca kres tego rodzaju praktykom. Jeśli zaś nie nastąpi, problemy nierównowagi rynkowej mogą się pogłębiać, a produkcja nadal będzie rozbieżna z potrzebami konsumentów.

Lesław A. Paga

Edmund Pietryk

Czasem przychodzę nieproszony na imieniny

zmarłych poetów w oberży nieskrywanych pragnień z dżikiem ptakiem który kiedyś mieszkał w moich skroniach Ten ptak oznajmił mi, że na imieniny Konstantego Ildefonsa umarł jego zaczarowany dorozkarz z

poprawka paru dni — nieważne — I to było tak jakby poeta pożyczal ludziom prawdziwe życie reszta to złudzenie Jego pieśń była krajem niezimnym lecz domem dla wszystkich

Jak słowa tych co mówią pięknie nawet w języku deszczu W sercu wielkiej pasieki rosły jego słowa jak niebo które najpiękniej rodzi się w zapachu lipowego kwiatu

Przychodzę nieproszony na te imieniny i myślę że Boga

poezji mam na ten czas w piersiówce w eskorcie radosnej melancholii stając na skalistym brzegu tego piekła i tam Dylan Thomas i Edward Stachura już trochę napici trzymają meteory w dłoniach i mówią o swym kunszcie posępnym czyli o wierszach Wreszcie któryś z nich rzucił w moją stronę — z brudnymi butami wchodzisz w komnaty tej dobrej nocy Idź gdzie indziej wyplakując się w swoją małą ranę i nie nazywaj nocą pierwszego

grudniowego śniegu Dla nas głośno kwitnie nawet kamień

Jesteśmy zbyt zuchwali na śmierć to tylko oswojenie z tym nocnym meteorem i nowe narodziny bez krwi i bez bólu bo nasza duma zawsze była wielkim ogniem Przyszędłem nieproszony wycofuję się Na progu kaleczę się o głogi które i tak kwitną im pod ich oknami w stronę sierpnia

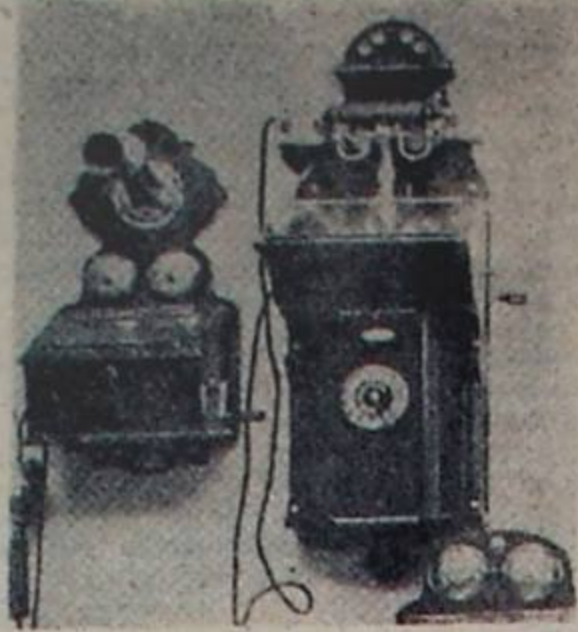
Mężczyzna w średnim wieku wszywa sobie esperal — Czy będę wolny od tego ognia? —

myśli — ktoś zdmuchnął światło z moich włosów a moje oczy to dwa płace stracone Tylko dlaczego trzymam jadowitego

węża w swojej krwi choć wsadziłem mojemu piekłu knebel w zęby Daj mi mojej ranie środek na sen bo za późno dla mnie na dobrą obietnicę mój poszroniały losie Więc stój bezsenności na mojej straży bo ja nigdy nie byłem ze swoim życiem na ty Tylko jeszcze zrób mi język z drewna Dokonam jeszcze jednego zamachu stanu wezmę swoje lata za pysk że będą po mojej stronie a nie przeciwko mnie Nadziejo! czy odnajdę cię jeszcze poprzez ten kamienny

bandaż? Znow mrok mówi do mnie głosem dobrego wilka a tak były piękne przebieśnięte początków

mojej choroby! Ktoś mi powiedział że mówię żargonem szozura a ja noc wplątałem w swoje skronie i sam wzniosłem przed sobą wielkie urwisko Mam paru zmarłych między swoimi żebrami i gdy nuce jakaś pieśń niesie mnie wielką kolezasta mgła Teraz deszcz jest najbezpieczniejszym dachem dla mnie i słyszę cień ukrytej w reszcie mojego serca gilotyny



MAZ prawdę powie: za psów nas mają — powiedziała niemłoda, ale przystojna kobieta. Męża jednak nie było. Kobieta stała przy zlewku, w małej, po miejsku urządzonej kuchni. Od razu wiadomo, że rodzina żyła dostatnio, chociaż dom stał dwa kilometry błotnistą drogą od wsi Rogów.

Kobieta żaliła się na ciężkie życie bez telefonu. Przedtem pękł włosów traciła z powodu zalamanego dachu i zapuszczenia domu, do którego mąż przywiózł ją przed dwudziestu dwu laty. Włosy jednak miała piękne. A i domowi nie brakowało — rozległy dworek z werandą i gankiem, drewniany, białobielony, jeden z tych, które dawno już w Polsce zmurszały i porosły łopłanem.

Ona skończyła technikum rachunkowości rolnej. Mąż wyższe studia rolnicze. Hodowali owce, razem z dwoma synami i synową.

W owczarni chrząściła wełna ocierających się o siebie czterystu owiec. „Złoty interes” tupał i tułł się nieświadomy kłopotów, jakie sprawia. Tymczasem całe gospodarstwo dostosowało się do owiec. Kolejka szynowa donosiła im paszę, ściółkę, liście, kizzonkę i słomę. Na pięciu hektarach czekało pięć kwater do wypasu, zawsze w którejś najświeższa trawa... W szopie z napisem „Service Ursus-Fiat” Wiesiek pilnował stanu technicznego maszyny, bez których owce dłużej czekałyby na obrządek. Tylko telefonu jak nie było, tak nie ma.

A gospodarstwo wysokospecjalistyczne — powiedział gospodarz Andrzej Gryn, który właśnie przywiózł inspektora służby rolnej w sprawie rozrzutnika. Jeżeli inspektor stwierdzi, że rozrutnik dostatecznie zużyty, gmina pozwoli kupić nowy. — Sześć lat temu odkupiłmny pięcioletni rozrutnik od SKR. Nie można za dużo chcieć od grata. Zwyktemu rolnikowi jeszcze by posłużył, ale dla nas za słaby.

Inspektor badał podwozie. Gryn cesał palcami włosy.

— W Polsce może taki rozrutnik nie stary — perorował — ale na Zachodzie już by wyrzucili. A ile roboty włożyło się, żeby go remontować?

— To? — Instruktor postukał rozrzutnik od spodu.

— To jest druga blacha — usłusznie wyjaśnił Wiesiek — zjedzona rdzą.

Inspektor pokłiwał głową. Gryn przypomniawszy sobie perypetie z silosokombajnem odkupionym z PGR:

— Za mała nośność i za mała. Obornik zbity, ładowacz kłopski. No to wziął syn chwytaacz od „Cyklopa”, silowniki i pompy od czeskiego, ramę swoją i zrobił specjalny ładowacz do nłskiej owczarni.

— Dwa tygodnie siedziałem, żeby ruszyło — dorzucił Wiesiek. — Przy tej ilości maszyn, jeden cały czas w warsztacie. Bez rowerów, samych kół ogumionych mamy 60. Teraz woziliśmy obornik, z oponą od ładowacza. Na styk lecimy. Na przykład znowu nie ma łożysk do przednich kół ciągnika. Tylko patrzeć, jak wysiadają... A w ludziach taka psychika. — Nie widzą, że ja wieczorem siedzę w warsztacie, ale gadają: był godzinę na polu.

— Ludzie mówią: im telefon niepotrzebny, bo mają samochód — rozczulił się ojciec Wiesia. — A to jest zawiść. U nas jest inny charakter pracy. Ludzie mówią: jeżdżą. A tak. O 6.30 jechałem już do Za-

mością, do Przedsiębiorstwa Obrótu Zwierzętami Hodowanymi umówić się w sprawie tryczków. Potem byliśmy w sprawie telefonu w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacyjnym — nikogo nie zastaliśmy, w tej samej sprawie w Urzędzie Wojewódzkim — i też na darmo. I po łożyska w PZGS na próżno...

Na środku grząskiego od deszczu i kopył podwórza naprawialiśmy Rzeczpospolitą.

— U nas w Polsce, żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba stracić pół dnia. W POZH w ciągu dwu tygodni powinno zrobić się miejsce na 90 naszych eksportowych tryczków. Trzeba się dowiadywać. Do szosy mamy dwa kilometry przez błoto. Wczoraj na przykład nie mogłem się wydostać, tak napadało. Do Grabowca 6 km, do Zamościa 28. I dowiaduję się — Wiesiek z dezaprobatą zakolebał się z pięć na palce.

— A przed dożynkami rzucili rozrzutniki — szarpał ranę inspektor.

— Nie wiedziałem — obruszył się Gryn. — Na przykład dowiaduję się, że przyjmują wełnę. Ladujemy

darstwo i wszystko ręcznie, albo wielkie i park maszynowy.

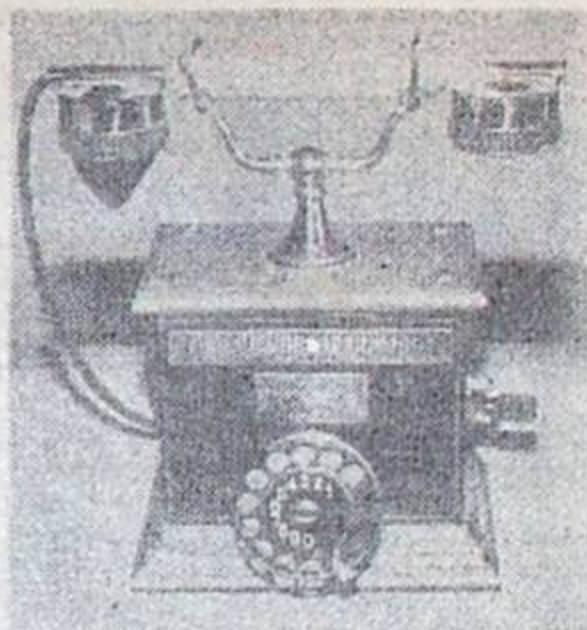
— W zesłym roku syu był w wojsku, a mnie koło od ciągnika spadło — przypomniał sobie ojciec. — Za nic nigdzie nie było łożysk po 130 zł. Dopiero traktorzysta z POM załatwił mi za dwie słowy. Co mnie wreszcie obchodzi... Można mieć pieniądze, ale niech ja dwa dni nie dam owcom jeść... A w pole możesz i dwa dni później wyjść. Na przykład w tym roku deszcze wyplukaly z siana mikroelementy. Ja je muszę w Zamościu zamówić i dopiero oni dostarczą do naszego GS. Gdyby był telefon...

Tak znowu wróciłmny do tematu — sąsiedzkiej zawiści, która nie pozwoliła na stawianie słupów telefonicznych.

— Ze żona ma białe ręce, mają pretensje — ciągnął Andrzej Gryn. — Jak specjalizacja, to specjalizacja. Ona nie musi w polu robić, to nasza sprawa. A i my żonie w domu nie pomożemy, tylko przyłatujemy i koszula czysta musi być. Mówią, że ubiorę się jak urzędnik. Ale każdą czarną robotę trzeba zrobić.

Telefon

Anna Bocian



— Ile kombinezonów się pierze... — westchnęła żona.

Wzdłuż drogi do wsi pagórkami spływały pola — narzucone jesiennym pasiakiem. Pochyleni sąsiedzi Gryna wyrwali buraki.

— On jest z dziedziców — powiedział Jan Kaspruk. — Nie zapytał gospodarza, tylko od razu przyjechał słupy stawiać. Dla niego człowiek byle co. Dla niego nic.

— I ja będę z sierpem chodzić koło słupa? — zdziwiła się Kasprukowa. — Mam 3 krowy, 20 świń, 2 byki, 2 konie, no ciągnik, wystarczy mnie, żeby ręce urobić.

— Jak Gryn brał pożyczki, wszystkie były jego przyjaciele — powiedział mąż, i żona zamilkła.

— Czekal na kapitalizm, nareszcie dwa lata temu zapisał się do partii. — Znowu zaczęła żona. — Możesz być towarzyszem, ale bądź człowiekiem! Całkiem durnota, żeby jeden drugiemu słupy po polach stawiał. Szkoda pola. Może on ma specjalizację, ale nam wystarczy, co się naharujem. Niech nom też będzie trochę łżej...

Pawłuk Franciszek burknął ze złością:

— Mam dziesięć słupów elektrycznych. Starczy mi. — Po chwili rozparł się łokciami o wóz i jakby zmienił zdanie, postanowił powiedzieć. — On stracił zaufanie jako członek partii. Nię umiał podejść do ludu. Zanim te słupy miał stawiać, żeby przyszedł poprosił rolników, żeby weszli w jego poleżenie... To on z milicją słupy przywiózł. Powiedział, że nieczyje łaski nie będzie prosił, bo inwestorem jest WUT. Z powodu słupów jego żonka chodziła do księdza gadać na nasze żonki... To tak? A ja będąc przewodniczącym GRN w Miączynie, jego ziemię spod parcelacji cofnąłem, jego ojca znać, bo był porządny człowiek. Takie wziąłem ryzyko. Ale Andrzejek nie ol-

oiec... No i ja, choroba ciężka, głowę pod pachą przyniosł? Mam się teraz na słupy godzić?

W sąsiednim podwórku irytował się Kaspruk Franciszek.

— Mam ziemię pierwszej klasy, ja za ziemię płacę podatki, nie chcę słupów nawet na między... Między zresztą nie ma, mamy znaki z sąsiadem. Sąsiad odkosił żyto, ja już nie musiał odkaszać. Ja odkosilem pszenicę, sąsiad nie musiał...

— Ja też gospodarska córka, a ona kowalowa córka — przybiegła dołożyła swoją rację jego żona. — Podobnież myśmy chcieli po 1000 złotych od słupa... A cóż mnie 1000? Dom pięć tysięcy, niech się odkrochnali. Nie jesteśmy ciemną masą, każdy oświecony w swoim kierunku...

Naczelnik gminy był zdania, że Gryn musi nareszcie wybrać: albo sąd, albo ugodę z sąsiadami. Tu o zgodę trudniej — pozostaje mu sąd. Jeżeli Gryn ani tego, ani tego nie chce, niech się sam martwi. Jego, naczelnika, obowiązuje przestrzeganie przepisów, a powinien być skrupulatny, skoro pochodzi z tej samej wsi, co zainteresowani.

— Nie dla mnie ta zgoda, ale dla WUT — zaprotestował Gryn, gdy spotkaliśmy się ponownie. — Ja wiem, co oni mówią: niech Gryn przyjdzie do nas, ładnie poprosi, a my się nie zgodzimy. To po to mam chodzić? Pozostaje mi teraz wycofać pieniądze i ograniczyć produkcję na własne potrzeby. Za bardzo się wybijam.

— Jak mąż wziął 500 tysięcy złotych kredytu, mówili: Gryn ma milion długu — wtrąciła się żona. — Przyszła raz do mnie sąsiadka pod zegarkiem i mówi: co macie z tego, że macie wyższe studia... Oj, pan! głupia, pani się za inżyniera wydała, żeby krowy doić? Najlepszy w ziemi robi.

— Wołali za nami: „Gierkowe parobki”. Sami... nie tego, a kogoś opóźniają — Gryn podsumował sąsiadów z rozżaleniem. — Jak w wysiegu pokoju chcą być w telefonie, nie pozwalają się wybić...

— Piją, na plotki mają czas. A broni im kto więcej pracy włożyć i podciągnąć się — zadziwiła się żona. — Szklarnie, lisy, nutrie zakładać? Nasz syn też mógłby studia zrobić. Ale doszedł do czegoś. I ożenił się, i żona tu przyszła.

— I moja nie bardzo chciała — przypomniał sobie Gryn.

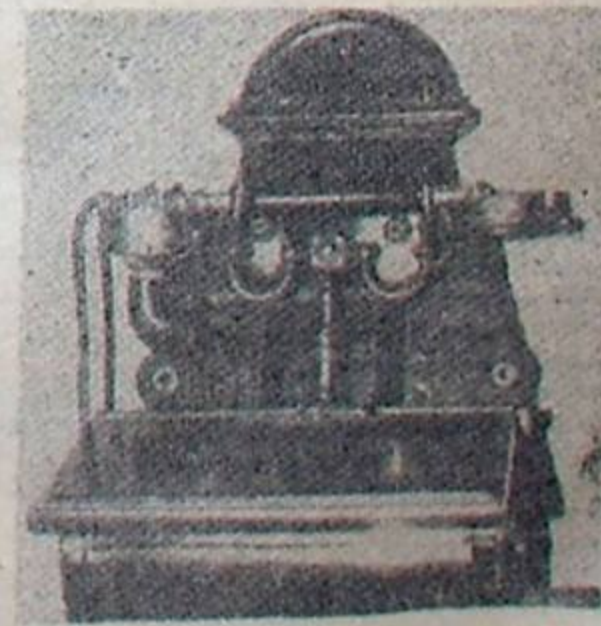
— Bo pechają swoje dziecię diabli wiedzą gdzie... A u nas już jest następca — dokończyła z dumą żona.

— Nie pasujemy do środowiska — powiedział z żalem mąż. — W produkcji owczarskiej przez trzy lata z rzędu mamy w województwie pierwsze miejsce. Pierwsi sadziliśmy kukurydzę na kizzonkę. Pierwsi doszliśmy siano wentylatorami. Siano mamy kompletnie zmechanizowane, wywózkę obornika też... Co ludzie od nas skorzystali, to my od nikogo.

— Nie nam samo nie przyszło — przypomniała sobie żona początki życia na dorobku i spojrzęła na syna — może ty z Bogusią coś w życiu zobaczysz, bo my z ojcem to nawet na Sylwestra... A ludziom szkoda!

Zapadło milczenie na temat bezradności, choć raczej pewne było, że ze względu na wartość produkcji owczarskiej Grynowie i tak w końcu telefon dostaną.

Tylko wieś zachowa urazę.



Sfotografowane aparaty telefoniczne znajdują się w zbiorach mgr. inż. Stanisława Zbyrada, dyrektora Okręgowego Laboratorium Poczty i Telekomunikacji w Lublinie.

Fot. Waldemar Stępień

POCZTA literacka



Dorota P. Lublin. Najtrafniejsze jest rozpoznanie przez Panią sytuacji młodego adepta pióra. Chyba nie zubożę dzisiejszej Poczty, jeśli przytoczę to rozpoznanie: „Zdecydowałam się napisać do Pana po wielu wahanach. Sądzę, że stosunek twórców do swoich utworów przechodzi pewną ewolucję. Początkowo piszą tylko naprawdę dla siebie, potem nieśmiało prezentują najbliższemu, aż wreszcie przychodzi moment, kiedy pragną miarodajnej oceny (o ile taka jest w ogóle możliwa). Ja doszłam właśnie do tego trzeciego etapu, dlatego przesyłam Panu kilka swoich utworów. Chciałabym się dowiedzieć, co Pan o nich sądzi i czy mogłyby mieć znaczenie dla innych?”

Rozpoznaję w tych utworach dziewczynę nagle zdzierzoną z życia i poddającą się tej falli doznań. Tematy i problemy układają się tu w klarowny kanon: codzienna szarzyzna pracy, papieros, alkohol, miłość, refleksje o śmierci, o sumieniu, wigilia, kiedy to nawet „tądyk staje się człowiekiem prostytutka dziewczyna”. Przeżycia i doznania są świeże i na skutek ich spontanicznego autentyzmu stoją w rażącej sprzeczności z surowością i nieudolnością środków wyrazu poetyckiego. Oto „Wspomnienie”:

*I jeszcze jedna szklanka
Już czuję ten szum w głowie
Wesoło mi, choć dźwięki
Z trudem układają się w słowa.
Papieros wypadł mi z ręki —
niech leży*

*Chodź, chodź prędko...
Jestem pijana. To drobniak.
Drobiaz? Kwestia gustu. A teraz
„Teraz”: sekcja zwłok 27-letniego
mężczyzny. Musiała to Pani widzieć
(studia medyczne?), a nurzenie się
w bebeczach przeciąga się nad miarę
w brutalnych przaiżmach. Pointa wątlutka:
Gdzie twoje myśli i uczucia?
Czy gdzieś są,*

*[...] Otwórz martwe usta i powiedz,
że tak,
Powiedz, że tak!...*

Z pytaniem o to, czy Pani wiersze „mogłyby mieć znaczenie dla innych” trafiła Pani pod niewłaściwy adres. Jestem przeczarty niewiarą w „trafianie poezji do innych”, nawet poezji laureatów Nobla, którym to stwierdzeniem stawiam się w roli wilka w owczarni, lekarza napromieniowanego śmiertelną dawką, czy duchownego, który stracił wiarę, ale nadal czyni swoją powinność. Amen.

Marek S. Zambrów. W prośbie o ocenę jest propozycja nie do spełnienia, mianowicie oczekuje Pan rozstrzygnięcia: „czy mijam się z powołaniem tracąc czas na pisanie”. Takim wizjonerem, mimo sporej dozy megalomanii, to ja nie jestem i naprawdę nie mogę rozstrzygnąć, czy Pańskie na razie nieudane wierszyki kiedyś nie ustąpią miejsca świetnym utworom. W jednym z tych wierszy dowiaduję się, iż ma Pan znaczne trudności z wstawianiem rano. Wiek? Skoro tak, to diagnoza byłaby już łatwiejsza. Oczywiście diagnoza nie w sprawie wstawania.

Piotr Z. Warszawa. Widok klucza dzikich gęsi ginących w obłokach; własnej twarzy w lustrze, pełnej zmarszczek, obecne, czy: „wczesny poranek /lamowane złotem ciapy” w wierszu „Emerytura”. Proszę Pana: jestem całą duszą z Panem. Odwagi! Ale nie nie poradzę na nieuchronność kondycji ludzkiej, ani na to, iż tym przejmującym dylematem nadaje Pan nieudany kształt poetycki.

H.P.

OKOLICE SZUKI

„Wołowy”

MAŁOWANE i rysowane patykami lub piórkami „Oranki” sprzed lat piętnastu to były wizerunki kobiet nagich, albo w majtki tylko ubranych. Patrzyły te kobiety w oczy widzom i rozkładały ręce w gestach niemocy i rozpacz. Później „Utrwalone” w gipsie postaci kobiet zostały zredukowane do rzeczy, do sponiewieranych przedmiotów, którym odebrano możliwości wyrażania jakichkolwiek uczuć. Aluzje do wojny — podpowiadała krytyka.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Zbylut Grzywacz, krakowski artysta urodzony w 1939 roku, przekonywał nas, że Człowiek ulega degradacji. Identyczne treści niosło w nasze mózgi potoczne doświadczenie, zdobywane w wydłużających się kolejkach do sklepów mięsnych, w spoconym tłoku autobusowych akademii chamstwa i wzajemnej nienawiści. Ale członek grupy „Wprost” najczęściej obrazował nam dramat człowieka w ogóle, odwołując się nieraz do motywów symbolicznych z historii sztuki, i choć czynił to z przejęciem oraz brutalnie zamieniając np. farbę w „bioto ontologiczne”, nie zyskał takiej uwagi spo-

lecznej, jakiej oczekiwał. Nie zmienili tej sytuacji jego „Mówcy” z 1969 roku, w maskach gazowych, za palisadą mikrofonów — symbole politycznej demagogiki i wyobcowania. W 1972 roku Grzywacz stwierdził z goryczą:

„Jest całkiem źle. Śmiesznie, że można się było spodziewać czegoś innego. Po kilku latach widać — głupie mrzonki. Jak w brzuchu ryby, wielkiej i niemej. Połknięci przez życie artystyczne. [...] Gimnastyka przy drzwiach zamkniętych. Trochę kibiców — fachowców od ocen. Środowisko, krytyka. Płon Kultury. I pionki. Napaści i poklepywania. Raz nagroda, raz zdjęty obraz. [...] A myśmy myśleli — to śmieszne — myśmy myśleli, że będzie taka rozmowa, taka z ludźmi!”

Więc zniechęcenie. Ale w tym samym roku Grzywacz pokazał cykl płócien „Człowiek bez jakości”, składający się z malowanych torsów ludzkich na postumentach, albo bujących się w próżni. Wystawił też serię „Zmięty i odprasowany”, w których odświeżenie i oficjalnie potraktowane garnitury postaci kontrastowały okrutnie ze „zmiętymi” twarzami i poskręcanyimi nogami bohaterów. Niewiele później wystąpił z malarską interpretacją słynnego obrazu Andrzeja Wróblewskiego z 1957 roku „Kolejka trwa”, aktualizując tylko ten tytuł na „Kolejka jeszcze trwa”, i umieszczając znacznie większą czerwona strzałkę na głowach ludzi siedzących w kolejkach do lepszych czasów? sprawiedliwości społecznej? bliżej nieokreślonego celu?

Im dalej w lata siedemdziesiąte, tym mocniej i konkretniej Grzywacz wchodził w polską rzeczywistość, bez skrupułów posługując się malowaną publi-

EKRAN I WIDZ

Gdzie jest film krótki?

OD dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem postawienia powyższego pytania, a teraz, gdy się już nareszcie zdecydowałem, strach mnie ogarnia, jakie mogą być tego skutki. Takie pytania naprawdę nie są bezpieczne: oto „Tygodnik Zamojski” informuje w jednym ze swych listopadowych numerów o przeprawie, jaka miała sprzątać kina „Wolność” w Tomaszowie Lubelskim, gdy zwróciła uwagę, że kinoperator nie wyświetla dodatków filmowych otrzymanych wraz z kopią filmu fabularnego. Dotknięty do żywego na honorze „mechanik” zwrócił się do niej tymi słowami: „Jakiej cholery ty szukasz, co mendo chcesz, pilnuj swojej szcztoki i szmaty, ty podżegacz cholerny!”. Zaś sam kierownik kina poparł zdanie kinoperatora męskim komentarzem, iż niefortunnej a zbyt dociekliwej „krytykance” należałoby jeszcze: „w dupę wykopać i to dobrze wykopać”. Cóż, poszkodowana dysponuje dla swojej obrony przynajmniej szcztoką na kiju, a ja co miałbym — długopis?

KRONIKA

■ Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie pozytywnie zaopiniowała kandydaturę Eugeniusza Garbea na stanowisko nowego wojewody lubelskiego oraz — w głosowaniu jawnym — wybrała Stanisława Zgrzywę nowym przewodniczącym WRN.

■ Po wielogodzinnych rozmowach bezowocnie zakończyło się spotkanie w Lubelskiej FSC przedstawicieli komitetów „Solidarności” zakładów przemysłu elektromaszynowego z komisją rządową, mającą na celu porozumienie w sprawie zasad realizacji podwyżek płac.

■ W kinie AM przy ul. Jaczewskiego w Lublinie zakończył się strajk okupacyjny studentów tej uczelni, popierający postulaty „Solidarności” służby zdrowia wobec rządu.

■ Podobnie jak na innych uczelniach Lublina również w KUL-u działa „Solidarności”, która domaga się demokratyzacji trybu powoływania władz uniwersyteckich, polepszenia stosunków międzyludzkich i jasnego określenia roli i charakteru szkoły. Szczególnie krytykowany jest Referat Personalny KUL-u.

Jednak zapytałem, gdzie podziwiają się dodatki filmowe, tzn. ambitne „dokumenty” publicystyczne i reportażowe, krótkie impresje, filmowe satyry, filmy animowane (krecone z myślą o dorosłych, a nie „kreskówki” dla dzieci), które są przecież produkowane przez odpowiednio wytwórnice z myślą zaprezentowania ich widzowi kinowemu? Może gdzieś na ekranach kinowych pokazuje się po kronice filmy Krystyny Gryczelowskiej, Krzysztofa Kieślowskiego, Marcela Łozińskiego? W Lublinie ja ich od dawna, jako żywo, nie widziałem.

W listopadzie na przykład — według „Filmowego Serwisu Prasowego” — trzynastu filmom fabularnym miało towarzyszyć siedem „dodatków”; oto ich tytuły: „Hazard” Janusza Stoklosa, „Kara” Tadeusza Pałki, „Filmowy sezon” Stanisława Janickiego, „Zmieńna ogniskowa” Danuty Halladin, „Zieleń w mieście” Mieczysława Vogta, „Ptaszek” Ireny Czesny oraz „Skupisko” Józefa Gębskiego. Niech czytelnicy tej rubryki przypominają sobie, które z tych dodatków — i w których kinach — widzieli na ekranach!

Nie wiem, co powoduje, że dodatków filmowych, owego „krótkiego filmu”, w kinach się z reguły nie wyświetla. Może filmy fabularne są coraz dłuższe i nie chce się przedłużać seansów, co mogłoby się odbić na ich losie w ciągu dnia, a i na kasie oraz planach finansowych? Może wiele z „dodatków” po prostu nie spełnia oczekiwań publiczności, może są słabe artystycznie, nudne, nieciekawe? W takim razie po co je produkować! Ale przecież zostały nakręcone filmy choćby takie jak: „Próba

cyfryka. Ciągłe pracuje nad serią „Opasanych” gębie owiem, konstruuje sytuacje metafizyczne, nie ograniczając dla każdego, kto na własnej skórze odczuł rosnącą obojętność wobec złości kolejkę na rudymenarnie wartości ludzkiej egzystencji. Ciągłe obecny w twórczości Grzywacza problem dwójności naszego życia, napiętego dramatycznie między tym, co oficjalne a prywatne, prawdziwe a kłamliwe — otrzymuje nową artykulację w pejzazach z domami, których części pokrywają jednolite płaszczyzny lakieru. W tytułach niektórych takich płócien pojawia się słowo „fasada”.

W ostatnich latach Grzywacz maluje cykl „Wołowy”, w którym przewrotnie odwołując się do ikonografii mitów śródziemnomorskich („Porwanie Europy”, „Corrida—Pegar”), ukazuje naszą codzienną w całym jej dramatyczno-trywialnym pogmatwaniu. Oto łęga kobieta z torebką w dłoni unoszona przez rozletęję w polowie wypatroszonego byka o dwóch nogach... Oto dwunóżny byk atakujący gazetę trzymana jak płachta przez faceta w garniturze, z tecką w dłoni... A dzieje się to wszystko w milczącej asyście anonimowego tłumy, uformowanego w kolejki do sklepów. O takich obrazach ludzie (nie tylko krytycy) mówili często...

Ostatnie miesiące udowodniły, że Zbylut Grzywacz nie miał prawa do zniechęcenia, które wyjawiał osiem lat temu. Dużo zresztą ludzi przyhodowało oglądać w listopadzie jego obrazy, pokazane w lubelskim BWA. To już nie jest „gimnastyka przy drzwiach zamkniętych”.

IJK

mikrofonu”, „Gadające głowy”, czy też słynny już dokument o robotnicach-włókniankach, których to filmów na ekran kinowy po prostu nie wpuszczono!

Polskie środowisko filmowe wykształciło kiedyś bardzo silną szkołę dokumentalną, wielu dokumentalistów zdobyło sławę w kraju i zagranicą, wybijający się dzisiaj reżyserzy filmów fabularnych doświadczenie zdobywali najczęściej właśnie w „dokumencie”. Ale w dzisiejszej świadomości społecznej nasz film krótki (nie mówię o „Bolkach i Łolkach”, „Misiach Uszatkach” i im podobnych) właściwie nie egzystuje. Oczywiście — oglądamy go nierzadko w telewizji, i ma tam on nawet swoje specjalne okienko, lecz... Nie będę rozwodził się tutaj na temat różnic odbioru projekcji filmowych i emisji telewizyjnych, bo to są rzeczy znane i dawno wytłumaczone. Jest też w Krakowie tradycyjny już festiwal filmów krótkometrażowych, ale ile osób poza profesjonalistami i gośćmi festiwalowymi, go ogląda? Jest także nawet jeden (!) krytyk filmowy — „Arcitenens”, czyli Bogumił Drozdowski, piszący stale o „Filmie krótkim i okolicach” na łamach tygodnika „Film”...

Naprawdę trzeba jakoś wyłać status i sytuację filmu krótkiego w naszych kinach; albo go wyświetlać, albo skończyć z repertuarową fikcją.

M.D.

P.S. Czy incydentem w Tomaszowie Lubelskim zainteresowała się dyrekcja Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Lublinie?

na celowość urządzania Lubelskich Spotkań Plastycznych i zasady rozdawania nagród wśród członków komitetu organizacyjnego imprezy, w gruncie rzeczy przemysła, że artystyczny plastyczny to cwaniacy, którzy w majestacie oficjalnych cenników ordynarnie ograbiła ludzi pracy. Warto zatem przypomnieć, że projekty plastyczne przewidywane w ramach LSP były szeroko konsultowane z mieszkańcami poszczególnych osiedli LAM, którzy akceptując wiele z nich oraz same idee Spotkań, jeszcze raz potwierdzili, że kiepsko im się żyje w bezowocnych pustyniach. Warto też wiedzieć, że próby przeciwstawiania robotników twórców kultury humanistycznej mają u nas smutną tradycję, zwaną choćby z imieniem 1968. Jej odnawianie nie mieści się chyba w nurcie odnowy, jaka przechodzi Polska. Z tekstu wynika ponadto, że autor, cenil sobie Rembrandta i Michała Anioła, co chwalebne, lecz zarazem szamonia, że żył on kilkanaście lat temu, a sztuka zmienia się jak życie samo. Tego zaś St. Harasimuk nie dopuszcza do świadomości, bezwiednie sprząc tym samym z UNESCO, jako że organizacja ta wyszła zainteresowana niektórymi projektami i Lubelskich Spotkań Plastycznych, które — biorąc pod uwagę ich skalę i trwałość rezultatów — kosztowały stożkowo niewiele mniej niż takie czy owakie festiwale piosenkarstwa.

Widać, że wywołanie dziecka z kapiela to dla St. Harasimuka zajęcie pasjonujące, podobnie zresztą jak dopisywanie faktów i słabych form rzeczbiarskich z Kolbowiczczyny do LSP, podczas gdy powstały one z zupełnie innej inicjatywy.

Metafizyczne iluzje

UKAZAŁ się już trzeci tom „Akcentu”, lubelskiego almanachu poświęconego literaturze i sztuce. Ale ja przeżyłam jeszcze tom drugi, gdzie znajduje się artykuł Stanisława Popka — „Psychologiczne uwarunkowanie procesu kreacji artystycznej”.

Po noszącym taki tytuł artykule spodziewać się można definicji tak mądrych, że już nieprawdziwych, wywodów, które tłumaczyć mogą tylko teorię dla teorii. Stąd moja a priori rezerwa, nawet uprzedzenie.

Artykuł illustrował „grafik” przypominający zabawę w labirynt. Pełno w nim strzałek, kresków, słów takich jak akumulator, ewaluator, algorytm, heurystyki, a litery G i N, wzięte w nawias i podniesione do potęgi n, dają wytwór, dzieło. Sam parum się twórczością i to z jakimś rezultatem, ale gdzie we mnie tkwi ten wzór na dzieło, nie miałem pojęcia. Chcąc się dowiedzieć, zacząłem czytać uważnie artykuł.

Wywód zaczyna się ab ovo, czyli od Platona, i po chwili wiem już wszystko, co powiedzieli o twórczości teoretycy i filozofowie od starożytności po czasy dzisiejsze. Stanisław Popek dokonał nie lada sztuki, by w tak krótkim artykule zamieścić tyle cytatów. W konkluzji cytowanych poglądów pisze on: nierozdzielny związek aktu twórczego z osobowością twórcy i dziełem od dawna powodował sprzeciw w odniesieniu do wszelkich prób unifikacji procesów twórczych. I taka jest prawda, to jest bariera, której przekroczyć nie sposób, bo i po co? Należałoby właściwie stworzyć tyle teorii, ilu jest twórców. Na tej niepowtarzalności zjawiska polega między innymi fenomen, którym jest dar tworzenia.

Zastanowił by się jeszcze należało, co nazywamy procesem twórczym, skoro nie każdy, kto trzyma pędzel w dłoni, jest artystą, choćby wykonywał te same co artysta czynności i spełniał wszystkie, określone w artykule S. Popka, warunki. Kto wobec tego jest artystą, skoro dzieło, które tworzy, nie posiada potencjalnej wartości.

Jak wiemy, wartość dzieła jest wartość nadana przez odbiorcę — widza. Nie ma teatru bez widowni, malarstwa bez percepcji. Spełnienie tej zależności jest warunkiem, by przedmiot uzyskał rangę dzieła. Jeżeli przy pomocy teorii miejsca, czy tak modny niedawno konceptualizm, problem jeszcze bardziej się gmatwa.

Twórca jest w tym procesie tylko wyrobnikiem, skazanym, jakże często, na udręk, samotność i wyobcowanie, żeby nie powiedzieć — pogardę. Ujmowanie tych czynności w reguły nie ma zbyt wiele sensu, bo nie ma recepty na dzieło sztuki, na arcydzieło.

Z przedstawionego w artykule przeglądu teorii wynika jasno, że problem jest nieuchwytny, złożony i można jedynie wysuwać pewne hipotezy, które przybliży zjawisko. Gorliwość S. Popka jest tak wielka, że pokusił się na przedstawienie w tej mierze własnej teorii. To, czego nie mogli uściślić, zdefiniować artyści, teoretycy sztuki i filozofowie na przestrzeni wieków, S. Popek precyzuje w sposób, według własnego mniemania, doskonale, mając na wszystkich wątpliwości gotowe argumenty. Pozwól sobie co nieco zacytować: *Wnioski wyprowadzone z dotychczasowych teorii oraz wyników własnych badań empirycznych [podkreśl. M. M.] stały się podstawą do opracowania przeze mnie typologii postaw twórczych oraz modelu procesu twórczego. [...] Biorąc pod uwagę sprzężenie zwrotne twórcy ze środowiskiem z jednej strony oraz różnice indywidualne (typologię), z drugiej, starałem się zbudować model procesu twórczego możliwie relatywny i uniwersalny (patrz schemat) — i co z tego wynika?*

Dalej: *Dla każdego typu zaznaczone na rysunku fazy (etapy) procesu twórczego mają inny przebieg w charakterze i czasie trwania. Oto dla przykładu typ intelektualny charakteryzuje się dość długą fazą przygotowania (preparacji) i inkubacji, ponieważ w chwili gotowości twórczej (oświecenia — iluminacji) istnieje już dokładnie sprecyzowana wizja przyszłego wytworu.*

Przepraszam, ale już nie wytrzyma, bo co oznacza oświecenie — iluminacja, albo dokładnie sprecyzowana wizja przyszłego wytworu. Taka definicja odnosi się może do fabryki, która produkuje obuwie albo magnetofony, ale nie do twórczości. Jeden obraz można malować całe życie. Jest to mozół, trud czasem nie do zniesienia, o ile sztukę traktuje się poważnie. Skąd bierze się lęk przed białym płótnem, pisarze mówią — lęk przed pustą kartką papieru? Czy to bierze się z dokładnie sprecyzowanej wizji przyszłego wytworu?

Przystępując do opisanie dzieł moich udręk zaiste z zajęczym sercem. Wskutek obaw, czy zdołam przedstawić obraz obłędu na tyle wierny, aby mógł być bliski prawdy. Aby sam był prawdą, jeśli to możliwe. Preto, jak starzy skrybowie, modłę się o sztuce wystawiania — pisze Jerzy Krzyszoł.

Tak, ale Stanisław Popek zastrzega się: *Budując hipotetyczny model procesu twórczego, wychodziłem z założenia materialistycznej teorii poznania. Stąd wniosek, że modlitwa twórcy nie była brana pod uwagę w budowaniu modelu, a szkoda, bo to model „uniwersalny” — jak twierdzi autor.*

Wykres, którym autor tak się szczyci, przypomina worek, do którego można wrzucać wszystko bez obawy, bo to razem wzięwszy niczemu nie służy, nie nie wyjaśnia. I z tego punktu widzenia można by tę całą metafizyczną iluzję obrócić w żart, potraktować jako zabawę w końcu niegroźną. Znając profesję autora, obawiam się, czy to czasem nie jest przedmiotem pracy naukowej? Jeśli tak, to ktoś się tu zagalopował, stracił zdrowy rozsądek.

Twórczość objawia się w sposób tak zaskakujący i tak niepowtarzalny, że próba zbudowania „modelu uniwersalnego” wydać się może czymś herostratesowym. Sami artyści są w wypowiedziach powściągliwi. W „Wyznaniach twórcy” Paula Klee czytamy: *Stosunek sztuki do aktu stworzenia jest metaforyczny. Sztuka jest zawsze przenośnią wobec kosmosu. [...] Najwyższy krąg zawiera ukrytą w wieloznaczności ostateczną tajemnicę i tu światło intelektu bezsilnie gaśnie. Można jeszcze jedynie mówić o oddziaływaniu sztuki, o błogostawieństwie, jakie ona przynosi.*

Na koniec mała refleksja. Nie uważam wcale, że problem twórczości to tabu, którego badać, analizować nie trzeba. Pamiętać jednak przy tym należy o odpowiedzialności za słowo. No i zdrowy rozsądek też się czasem przydaje.

Marian Makarski

LESSEL

WBIEŻĄCYM roku przypada dwusetna rocznica urodzin Franciszka Lesla (1780—1850), jednego z najwybitniejszych kompozytorów polskiej doby przed Chopinowską. Twórczość jego, nieustannie dociekały wspomnienia, zachowana fragmentarycznie w rękopisach lub rzadkich pierwodrukach, nie doczekała się do dzisiaj pełnej relikwii badawczej. W celu prezentacji dorobku Lesla szerzej publiczności i wzbogacenia wiedzy o nim odbyła się w Puławach trzydniowa (13—15 listopada) sesja naukowa poświęcona 2 koncertom, w programie których znalazła się większość jego znaczących kompozycji. Wybór tego miastu nie był przypadkowy: tu urodził się 48 lat na dworzec Czartoryskich Wincenty Lesel, ojciec Franciszka, Czec i p-chożeni, wykładowca w Dreźnie, m. in. u Dittersdorfa i Hillera, pełniący w Puławach funkcje dyrygenta Kapeli dworskiej, kompozytora (tworzył zaginiony dziś opery *Matka Spartańska* czy *Pielgrzym z Dobromila*, patriotyczne w treści i pedagog).

Franciszek, mieszkając w Puławach, od wczesnego dzieciństwa mógł uczestniczyć w bogatym i zróżnicowanym życiu muzycznym książęcego dworu. Równocześnie ojciec uczył go gry na fortepianie i skrypcach oraz wprowadzał w elementarne zasady kompozycji i teorii muzyki. W roku 1800 Franciszek Lesel wyjechał do Wiednia, który był wówczas muzyczną stolicą Europy — aby podjąć studia medyczne, te bowiem kierunek obmyślał dla niego ojciec. Atmosfera Wiednia i zainteresowania młodzieńczego człowieka przeważały jednak nad rzeczką studiowania kompozycji pod kierunkiem samego Józefa Haydna. Podobno maestro wysoko ocenił talent Lesla i darzył go dużą sympatią. Nie ulega wątpliwości, że oprócz lekcji u Haydna ogromnie ważną była dla Lesla możliwość poznawania najwybitniejszych kompozytorów tego czasu oraz słuchania i studiowania ich utworów.

Po śmierci Haydna (1809) Lesel wrócił do Polski. Początkowo zajmował się wyłącznie komponowaniem, koncertował i udzielał lekcji gry na fortepianie. Wiedząc jednak działalność artystyczną nie mogła zapewnić mu bytu, skora przyjmował kolejno także zajęcia, jak zarządcy dóbr ks. Marii Wierzbickiej w Pilicy czy inspektora Gimnazjum Gubernialnego w Piotrkowie. Nie przestał jednak komponować (z około 40 opusów zachowała się mniej więcej połowa), był koncertującym pianistą, wirtuozem gry na skrzypcach harmonice, a nawet malarzem.

Muzyka Lesla wykazuje związki z klasycyzmem; oczywiście podstawowym źródłem inspiracji jest tu Haydn. Ale po 1810 roku coraz żywiej w jego twórczości dają znać o sobie elementy nowe, jak styl *Brilliant* w muzyce fortepianowej, akcentujący pierwiastek wirtuozowski, czy preromantyczna już wzmożona uczuciowość i subiektywizm, wrażliwość na kolorystykę brzmienia fortepianu czy wyzyskiwanie elementów polskiego folkloru muzycznego. Ostatnia z wymienionych cech pozwala zaliczyć Lesla do prekursorów stylu narodowego.

Stefan Münch

„Budka Suflera” w natarciu

MODA zawsze była głównym wyznacznikiem zmian w muzyce rozrywkowej. Ona decydowała o fortunie lub zwichnięciu sławy gwiazd piosenki i do niej dostosowywało się kampanie reklamowe. Mijający rok jest przykładem nowych przesłowań w obowiązujących nurtach stylizacyjnych show biznesu. Daje się zauważyć spadek zainteresowania wyeksplotowaną muzyką disco, zastępowaną przez odświeżonym rockiem, country i reggae. Odnoszą wręcz, iż najbliższy sezon upłynie pod znakiem mocno zrytualizowanych form rock and rollowych, wzbogaconych w miarę oryginalną melodią. Tak przynajmniej sugerują to tendencje stylizacyjno-repertuarowe zarysowujące się w nazwym artystycznym świątku.

Pisząc o godnych uwagi dokonaniach rodzimych reprezentantów sceny rockowej, trudno pominąć milczeniem najciekawszy obecnie, w dodatku lubelski zespół — Budka Suflera. Szóstka instrumentalistów święci w ostatnim czasie glośne triumfy, czemu trudno się dziwić, zważywszy talent kompozytorski Romualda Lipko i dużą pracowitość całego ansamblu. Lubelscy muzycy jeszcze w ubiegłym roku pokazali się z najlepszej strony, nagrywając dwie duże płyty, a także uczestnicząc w realizacji kilku interesujących piosenek Anny Jantar i Ireny Jarcokiej. Nowe, nieznanne dotąd możliwości Budki jako wybornego akompaniatora ujawnione zostały w momencie podjęcia współpracy z aktorką teatru „Syrena” Izabellą Trojanowską. Nagrane wspólnie w Lublinie piosenki trafiły na krajowe listy przebojów, do radia, telewizji, ba, nawet na festiwalowe estrady. W blaskawym tempie Trojanowska stała się gwiazdą sezonu, a jej dynamiczne piosenki obowiązuje artystami. Niewątpliwie decyduje o tym osobowość wokalistki, jej znakomite warunki głosowe i zdolność interpretacyjna, nie mniej panuje zgodne przekonanie, że swój sukces zawdzięcza Trojanowska właśnie Budce, która ją wyłasnowała. Wielkim echem odbiły się w kraju zwycięstwa piosenkarzki w Opolu (nagrada specjalna za interpretację) i Sopocie (II nagroda w konkursie płytowym Interwizji). Komentując je,

mówi się nie tylko o świetnej formie młodej, a także perfekcyjnej artystyki, lecz i niezwykle grze odnowionej personalnie, stylizacyjnie i repertuarowo Budki Suflera. Nie zdziwił się przeto, jeśli nasza grupa zostanie zakwalifikowana do ekipy reprezentującej Polskę na najbliższych Targach Muzycznych MIDEM w Cannes (styczeń 1981).

Po rozstaniu się z Krzysztofem Cugowskim i okresie nieudanej współpracy ze Stanisławem Wenglerem losy grupy stały pod dużym znakiem zapytania. Wiele pomogła jej zyczliwość kierownictwa rozgłośni lubelskiego radia. Znalazło się w nim miejsce na próby i nagrania Budki. Wytrwała praca i upor porwolli odzyskała utraconą przed trzema laty popularność. Dale lubelska formacja cieszy się opinią najeleńszej w gronie kilkunastu znaczących wykonawców muzyki rockowej. Warto jednak zauważyć, że Romuald Lipko i towarzyszący mu koledzy nie powielają w przeciwnieństwie do rywali utartych schematów. Utwory Budki cechuje obok nowoczesnej aranżacji duża nośność melodyjnych tematów, zapewniających im dłuższy żywot. Sympatycy Budki Suflera i niecierpliwością wyczekują już premiery dwóch longplayów nagranych przed rokiem, a zawierających bardzo ciekawe propozycje repertuarowe, że wspomnie choćby znane z radiowej anteny „Sekret”, „Ona przyszła prosto z chmur”, „Tyle z tego masz”. Jak zapewniają przedstawiciele Polskich Nagrań, oba dyski zespołu powinny niebawem trafić także i do lubelskich sklepów. Godnie podziwu jest tempo, z jakim muzycy Budki realizują kolejne etapy ambitnych planów artystycznych. We wrześniu zakończyli nagrania pierwszego longplaya Izabell Trojanowskiej planowanego do wydania przez Tonpress w grudniu br. Krążek zawiera 4 kompozycje Romualda Lipko do tekstów Andrzeja Mogielnickiego, z których cztery są premierowe. Przy okazji warto wspomnieć o realizatorze nagrań, uważanym zgodnie przez krytyków za najlepszego specja w naszym kraju. Jest nim były perkusista Klanu, który realizował już doskonale nagrania

Voxu, Meanamu, Alex Bandu i zdobył sobie podziw sławnych w ocenie zachodnich producentów płytowych. Październik rozpoczął się dla Budki Suflera wyjazdem do RFN. Grupa spędzi tam na koncertach pełny miesiąc, a następnie w listopadzie odwiedzi Holandię. Powrót do kraju planowany jest na początek grudnia. W tym czasie muzycy zarejestrują wspólnie z Izabellą Trojanowską specjalne widowisko telewizyjne wzorowane na angielskich horrorach. Nieco wcześniej telewizja przedstawi nam program rozrywkowy „Lunapark”, utwóriony na taśmie po sopskim sukcesie Trojanowskiej. W programie tym wystąpią obok Budki Suflera dwie śpiewające pannie: Irena Jarcokie i Izabela Trojanowska.

Grudzień zapíše się pewnie na dłużej w dotychczasowej karierze naszego zespołu. W tym miesiącu bowiem wyjedzie on na pierwsze w historii polskiego rocka tournée koncertowe do Azji. Na zaproszenie Niranthana Thaveri — organizatora głośnego festiwalu Jazz Yatra — Budka odwiedzi z koncertami Indie i Ceylon. Wrazenia, jakie przywiozą stamtąd muzycy, stana się zapewne podkładem do ciekawych eksperymentów dźwiękowych. Bogata kultura muzyczna Indii wywarła wpływ na wielu wybitnych przedstawicieli rocka i jazzu z Beatlesami i Mahavishnu McLauglinem na czele. Po powrocie z Indii członkowie grupy planują nagranie w lubelskim studiu podwójnego albumu, do którego mają już przygotowany materiał. Czas pracy studyjnej nad napisaniem płyty pokrywać się będzie z przygotowaniami do następnego, długiego tournée zagranicznego. Z początkiem marca przyszłego roku Budka Suflera wstąpi na trzydniową trasę koncertową do Związku Radzieckiego. Koncerty te oczekiwane są o czym świadczy liście od radzieckich fanów) z dużym zainteresowaniem. Myślę, że dłuższy pobyt zespołu poza granicami kraju nie rozluźni kontaktów z rodzinnymi sympatykami. Z myślą o nich aktywny sekretarz przygotował kilka premierowych nagrań radiowych, które będą sukcesywnie prezentowane w programach muzycznych nie tylko lubelskiej rozgłośni PR. Na koniec warto przedstawić aktualny skład Budki Suflera. Nowego, trzeba przyznać doskonałego solistę Romualda Crystawa wspomagała na scenie i w studiu — gitarzysta Janusz Borysewicz i Zdzisław Janiak, basista Andrzej Ziółkowski, perkusista Tomasz Zelisewski i szef muzyczny całego zespołu i aranżer grający na instrumentach klawiszowych Romuald Lipko.

Istvan Grabowski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bęczkay-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata ze zniżką dla emerytów i rencistów. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny 355-93, sekretarz redakcji 214-93, dział publicystyki i literacki 375-33.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i płatki w godz. 14—15. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”. Komбинат Wydawniczy — Kołportażowy w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 253-38. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7168. Nr indeksu 34751. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny 355-93, sekretarz redakcji 214-93, dział publicystyki i literacki 375-33. Korrespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.